

Rok V.
Kraków, dnia 26 lutego 1911 r.
Nr. 9.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

25 lutego 1831 roku.

Radosny moment przeżywała Polska cała; naprawdę weselny był to karnawał! Nadchodziły wieści o zwycięztwie pod Stoczkiem, pod Dobrem, pod Nową Wsią, aż przyjść musiało do stanowczej bitwy.

Stutysięczna armia rosyjska z jenerałem Dybiczem na czele, posuwała się ku Warszawie. W stanowczym momencie wojsko polskie liczyło 46 tysięcy ludzi. Stanęły naprzeciwko siebie dwie te armie, na prawym brzegu Wisły, pod wsią Grochowem. Jedna gnana tylko rozkazem swego mocarza i pana; druga pędzona siłą miłości, gotowa na śmierć, ale pragnąca ze wszystkich sił zwycięztwa; jedna z musu, druga z woli.

Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę,
Przysięga klęcząc: naszym świadkiem Bóg!
Z bagnetem w ręku pójdziem w świętą sprawę,
Śmierć naszem hasłem, niechaj zadrży wróg!
Już dobosz zagrzmiał, już sojusz zawarty,
Z panewką próżną idzie w bój pułk czwarty.

Zaczął się bój. 25 lutego o godz. 8 rano pierwsze działa polskie dały ognia, to lewe skrzydło zaatakowało korpus rosyjski jenerała Szachowskiego. Ten broni się dzielnie, lecz po daremnym wysiłku cofnąć się musi w rozsypce. Jeszcze cofając się wpada w bagna i w znacznej części dostaje się do niewoli.

Naprzeciw naszego środka gromadził zastępy swoje jenerał rosyjski Rosen; najważniejszym punktem był lasek, Olszynka, bo tam krzyżowały się drogi. Kto zajął ten punkt, mógł nie dopuścić do połączenia się sił nieprzyjacielskich. Dwa pułki polskie odpierają zwycięzko napad nieprzyjaciela, lecz jeszcze nie zdobywają Olszynki. Chłopicki, dawniej dyktator, teraz nawet nie żołnierz, postanawia radą swoją wspierać naczelnego wodza, którym jest Radziwiłł. Bez munduru, w surducie i kapeluszu, obejmuje komendę i posyła najpierw dywizyę Żymirskiego; ta ginie co do nogi, jeszcze bez ostatecznego zwycięztwa. Wtedy idzie sławny »pułk czwarty«.

Działa rosyjskie walą ze wzgórza, piechota wita naszych ogniem rotowym, oni nie odpowiadają nawet, idą — pędzą z najeżonymi bagnetami. Nieprzyjaciel cofa się, Olszynka zdobyta. Moskale jeszcze nie dali za wygraną, ich nowy atak spotyka się z dwiema polskiemi kolumnami, które prowadzą Skrzynecki i Chłopicki. Natarcie było silne, ale nie słabsze odparcie, a potem pościg tak szybki, że armia moskiewska w puch rozbita, uciekała co sił.

I po raz czwarty uderza na Olszynkę jenerał Dybicz; w nieszczęsnej tej chwili pęka granat i rani Chłopickiego w obie nogi. Nieprzyjaciel nabrał ducha i jest pewny, że polskie wojsko rozbije. Pomylił się! Wojsko polskie zniosło doszczętnie wyborowy pułk rosyjski, zwany niezwyciężonym, tak że go wcale nie było. Nieprzyjaciel cofnął się, a my posunęliśmy się ku Wiśle i Warszawie.

Wiadoma światu ta sławna Olszyna,
Gdzie nieprzyjaciel twardym murem stał;
Paszcz tysiąc zieje, rzeź się krwawa wszczyna,
Już mur zwalony, nie padł ani strzał.
Okropny postrach poniósł tłum rozżarty,
Spokojnie wrócił do Pragi pułk czwarty.

Każdy Polak dumnym być może z grochowskiej bitwy, z waleczności polskiego żołnierza, z jego karności, odwagi, poświęcenia. Naoczny świadek, uczestnik powstania, mówi: »Nic wspanialszego, jak ówczesny żołnierz polski. Szedł dziedzic, szli jego synowie i jego włościanie z ochotą, bez przymusu. Nie szukał zaszczytu nikt, ale każdy miał ducha polskiego i ten dokazywał w nim cudów«.

Postarajmy się okazać życiem, iż nie straciliśmy tego, co tamci przekazali nam swym bohaterskim zgonem.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

5. Gaj Dafne.

Ben-Hur opuszczał dom Simonidesa z wielką goryczą w sercu; do tylu zawodów, jakie napotkał, szukając swoich, przybywał jeszcze jeden, a był mu on tem boleśniejszy, im cel, do którego dążył, był mu droższym. Na pięknym tym szerokim świecie nie było dla niego ciepłego kącika. Nagle sam nie wiedział, jak i kiedy, przyszło mu na pamięć to, co słyszał o gaju Dafne, o jego rozkoszach, których nie znał. Odwrócił się, podążając ku gospodzie.

— Droga do Dafne? — zapytał.

Strażnik zdziwiony był tem pytaniem.

— Jakto? Więc tam jeszcze nie byłeś? W takim razie dzień dzisiejszy zalicz do najszczęśliwszych w życiu. Droga tam prosta.

Rozporządziwszy swymi pakunkami, Ben-Hur wyruszył w drogę. Łatwo mu przyszło odnaleźć drogę i szedł do wrót spiżowych, wraz z nieprzeliczonym tłumem. Była czwarta godzina dnia, gdy przeszedł bramę. Co kilkadziesiąt kroków stały tu piękne marmurowe posągi, bijące fontanny, wzniesione przez odwiedzających te miejsca królów i nazwane od ich imienia; po obu stronach łąki, cieniste dęby i sykomory, a wśród ich zieleni wznosiły się małe, oplecione winną latoroślą domki, dla odpoczynku i ochłody podróżnych.

Ben-Hur patrzył na wszystko z dumną pogardą człowieka, przybywającego ze stolicy ówczesnego świata; cóż mógł tu zobaczyć, coby w Rzymie nie było stokroć piękniejsze i doskonalsze?

Już jednak w połowie drogi począł rozglądać się baczniej naokoło.

Tłum składał się z ludzi rozmaitej płci, wieku i narodowości, wszyscy przybrani byli w szaty odświętne. Jedni powiewali flagami, inni nieśli kadzielnice; ci szli śpiewając hymny; tamci przy dźwięku trąb lub fletu. Prowadzono kozy, owce, konie i woły, uwieńczone kwieciem i liściem winogradu. Jeśli każdego dnia w roku spieszono tak tłumnie do gaju Dafne, czemże ten być musiał?

Nagle hymny rozległy się jeszcze głośniej, muzyka przyspieszyła tempa, powietrze napełniło się radosnymi okrzykami — przed oczyma pątników ukazała się poświęcona grota. Na wzgórzu wznosiła się świątynia, przed nią rozciągała się szeroka płaszczyzna, wybrukowana płytami z gładzonego kamienia, dalej przerżnięty w tysiączne ścieżki ogród, pełen wodotrysków, posągów i woni najrzadszych kwiatów. Ben-Hur stanął oczarowany, nie wiedząc gdzie iść.

Po marmurowym bruku rozległo się tupotanie sandałów; ciżba się rozsunęła, przepuszczając rój dziewcząt z rozwianym włosem, w przejrzystych szatach, przy dźwięku muzyki i śpiewów dziewice te wykonywały taniec lubieżny.

Były to kapłanki świątyni Apollina, stanowiące chóry w obrzędach.

Powietrze rozbrzmiewało od wesołych pieśni, unosiła się w niem woń kadzideł. Ben-Hur przysłuchiwał się urywanym rozmowom. Z początku dźwięk wciskał mu się w ucho natrętnie, nie budząc żadnych myśli, wkrótce jednak zaczął się zastanawiać.

— Czy życie w gaju było istotnie tak słodkiem? Widocznie, skoro co roku tysiące ludzi zapominało tu o wszystkiem, o obowiązkach, rodzinie, ojczyźnie. Urok miejsc tych snać był potężnym, jeśli pozbywano się dlań wszelkich celów życia, nadziei, wspomnień! A jeśli on gaj tyle miał czarów dla innych, czemuż nie miałby ich mieć dla niego? Miałażby szczęśliwość owa być udziałem wszystkich ludzi i plemion, z wyjątkiem dzieci Izraela?

Pytania te tłoczyły mu się do głowy. Oglądał się naokoło, szukając na nie odpowiedzi. I on, co tu wchodzi smutny i obojętny na wszystko, co nie było jego strapieniem, zajmował się coraz żywiej tem, co go otaczało. Wcisnął się za procesyą do gaju.

Zaleciała go woń kadzideł i aromatycznych kwiatów Wschodu.

— Czy składają się tu jakie ofiary? — zapytał stojącego obok mężczyzny.

— Tak, przed ołtarzem Dyany.

Odpowiedź brzmiała w macierzystym języku Ben-Hura. Spojrzał zdziwiony na mówiącego.

— Czy jesteś Hebrajczykiem? — zapytał.

— Urodziłem się w Jerozolimie, nie dalej, jak o rzut kamienia od rynku.

Młodzieniec chciał ciągnąć dalej rozmowę ze swym rodakiem, lecz rozdzielił ich cisnący się tłum. W pamięci pozostała mu jednak postać nieznajomego: miał twarz zdradzającą typ żydowski; okrywała go ciemno-brązowa szata, na głowie miał takiż zawój, związany żółtym jedwabnym sznurem.

Party przez ciżbę Ben-Hur doszedł do miejsca, skąd wązka ścieżynka prowadziła w głąb gaju.

Gąszcz zdawał się nietknięty ręką ludzką, lecz przyjrzawszy się bliżej, można było dostrzedz, że i tu sztuka zrobiła swoje; wśród trawy przezierały przepyszne kwiaty, drzewa niosły wykwintne owoce.

Nad głową Ben-Hura i naokoło niego unosił się śpiew ptactwa; skowronki i słowiki zawodziły swe pieśni, gołębie gruchały, przepiórka przebiegła przed jego nogami, niespłoszona ludzkim widokiem.

Ben-Hur, poddając się uczuciu słodkiej jakiejś niemocy, usiadł pod drzewem cytrynowem.

Nad głową jego zawieszone było gniazdko sikory; ptaszę przypatrywało mu się, jakby chciało powiedzieć: »nie boję się ciebie, tu jedna jest tylko władczyni — miłość«. Do miłości tej rwało się serce młodzieńca. Pierwszy raz w życiu zapragnął skosztować jej rozkoszy, lecz.... przyszli na myśl jego najdrożsi.

— O Boże Izraela! — zawołał zapalonemi od złych myśli ustami — o matko! o Tirzo! Przeklęta niech będzie chwila ta i to miejsce, gdzie mogłem o was zapomnieć!

Uciekając coprędzej z tej rozkosznej gąszczy, doszedł do pięknego granitowego mostu, co wznosił się nad kanałem; nad mostem tym piętrzyły się inne, każdy w odrębnym stylu. Poza mostami i kanałem widać było łąki, gaje, pagórki, tajemnicze groty, wzgórza przystrojone, zieleniejące od łąk doliny, na których pasły się piękne, białe trzody. Słychać było z oddali nawoływania i śpiewy pasterzy. Pod gołem niebem ustawione były ołtarze, przed każdym składał ofiary kapłan, przybrany w śnieżną szatę; od jednego do drugiego ciągnęły procesye, a dym kadzideł unosił się wysoko ku ołtarzom.

Z mostu Ben-Hur wszedł na łąkę. Piękna pasterka pędziła właśnie po niej stado owiec. »Chodź«, skinęła zalotnie, przechodząc koło niego. — On poszedł dalej.

O kilkanaście kroków, przed ołtarzem z białego marmuru, młoda kobieta utrzymywała ogień w bronzowym popielniku, kiwając na niego zalotnie gałązką brzozy. — »Stój« — mówiła głosem pieszczonym.

On poszedł dalej. I znowu spotkał procesyę; otwierały ją młodziutkie dziewczęta wśród wesołych

pieśni i rozkosznych tańców; poza niemi kobiety w pełnym rozkwicie wdzięków, niosły ofiary z owoców i słodkich bakalii. Wabiły go słowem i wzrokiem.

Lecz młody żyd szedł dalej, obojętny na te pokusy. Rozumiał teraz, czem była grota Dafne — przybytkiem miłości, ale, ale, o zgrozo! miłości — nieprawej.

I otóż to było owo słodkie miejsce, o którem słyszał.

Dla takich to celów królowie sypali hojnie złotem, wznosili posągi i ołtarze! Strumienie i lilie, czyste lilie służyły takim celom! Wielkie oburzenie ogarnęło serce czystego syna Izraela. Szedł prosto przed siebie z podniesioną dumnie głową; starał się nie widzieć tego, co go otaczało.

Szukając cienia i spokoju, wsunął się do cyprysowego gaju; wtem usłyszał w oddali dźwięki trąby, obejrzał się i ku wielkiej swej uciesze zobaczył leżącego na trawie współplemiennika, z którym przed paru godzinami spotkał się na drodze do świątyni. Nieznajomy wstał i podszedł ku niemu.

— Czcigodny mężu! — rzekł Ben-Hur — pierwszy raz jestem w tych gajach, wszystko jest mi tu obce i wdzięczny ci będę, jeśli zechcesz być moim przewodnikiem.

— Będzie mi to prawdziwą przyjemnością.

Ben-Hur położył rękę na ramieniu towarzysza.

— Jestem syn Arriusa, duumwira — rzekł.

— A jam jest Malluch, kupiec z Antyochii. — Powiadasz, że duumwir był Rzymianinem. Dlaczegóż — pytał — syna jego widzę w stroju Izraelity?

— Szlachetny Arrius był mi tylko przybranym ojcem — odparł Ben-Hur.

— Aa! tak? Daruj mi moją ciekawość.

Przeszedłszy gaj cyprysowy, weszli na rozległe pole. Tu był tor, usypany z miękkiej ziemi, polanej wodą; od widzów po obu stronach odgraniczał go przeciągnięty o łokieć nad ziemią sznur. Siedzieli w półkole na drewnianych ławach; rozpięte nad ich głowami płótno zabezpieczało od promieni słonecznych. Obaj nowo przybyli znaleźli miejsca. Ben-Hur liczył wozy, w miarę, jak wyjeżdżały na plac. Było ich dziewięć.

Ośm czwórek przebiegło, dążąc do miejsca, od którego poczynały się gonitwy. Jedne w galopie, drugie stępa, dziewiąta przemknęła w pełnym galopie.

Z piersi Ben-Hura wyrwał się okrzyk zachwytu.

— Co za wspaniałe rumaki! Znam stajnie cesarskie, Malluchu, lecz klnę się na błogosławioną pamięć ojca Abrahama, żem nigdy jeszcze takich nie widział.

Dotychczasowi zapaśnicy przyjmowani byli w milczeniu przez widzów; ostatniego przybysza witano głośnymi oklaskami. Powoził czwórką. Konie jarzmowe były kare, boczne białe jak mleko. Ogony ich i grzywy, według rzymskiego obyczaju, krótko przycięte; w grzywy były wplecione żółte i czerwone wstęgi.

Wóz w pełnym kłusie koni zbliżał się coraz bardziej do miejsca, w którem siedział Ben-Hur, coraz też bardziej zarysowywała się postać woźnicy, przybranego w szkarłatną tunikę. W prawej ręce trzymał bicz, w lewej, wzniesionej nieco i wyprężonej, cztery lejce. Postawa jego pełna była zręczności i swobody. Przyjmował oklaski i pozdrowienia z dumną obojętnością posągu. Rydwan był już o kilka staj od Ben-Hura, który mógł widzieć dokładnie twarz woźnicy. Twarz ta była mu dobrze znana.

Woźnicą był Messala, dumny, pogardliwy, jak przed laty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GAWĘDY O RÓŻNYCH SPRAWACH.

MARYAWICI.

Ktoby przypuszczał, że i teraz, kiedy oświata coraz większa, znajdą się ludzie, którzy odstąpiwszy od jedynej, prawdziwej, bo objawionej przez samego Boga religii katolickiej, wymyślą sobie nową religię i co ciekawsze, będą nawet twierdzili, że tylko ta ich wymyślona religia jest prawdziwą.

Przed czterema laty powstała w Królestwie Polskiem sekta t. zw. maryawitów. Swoje niespodziane powstanie zawdzięcza kobiecie nazwiskiem Kozłowskiej, która się od początku podawała za istotę nawiedzoną przez światłość Bożą. Wnet znaleźli się głupcy, którzy w jej światłość uwierzyli a z każdym rokiem było ich coraz więcej. Do roku 1908 należeli jeszcze do Kościoła katolickiego, lecz gdy Ojciec święty przekonał się, że to są zatwardziali heretycy i tak zawojowani przez »nawiedzoną światłością« a w rzeczywistości opętaną przez dyabła kobietę, że ich już nie można nawrócić, rozwiązał w r. 1909 ich zgromadzenie, śluby zakonne księży maryawickich unieważnił a księdza Kowalskiego, który był ich »biskupem« zasuspendował.

Wówczas to maryawici podnieśli otwarty bunt przeciw Kościołowi. Papieżowi, arcybiskupowi warszawskiemu wypowiedzieli posłuszeństwo, zaprzeczyli dogmat o nieomylności papieża i wzięli się do gorączkowego »nawracania« ludu. Rząd rosyjski, widząc jak Maryawici występują przeciw Kościołowi katolickiemu i przez bezbożną pracę osłabiają naszą ojczyznę polską, śmiał się w kułak z radości i pomagał Maryawitom co sił w ich bezbożnej robocie.

Aby włościan przyciągnąć do siebie, budowali kościoły, kaplice, zaczęli zakładać szkoły własne, ochronki, warsztaty. Niestety natrafili na dość wielu nierozsądnych włościan, którzy dali się schwycić na lep ich heretyckich nauk. Po kilku latach istnienia w roku 1910 maryawici zdołali już oderwać od prawdziwej wiary 162.250 ludzi, z których utworzyli 70 okręgów parafialnych, wybudowali 54 kościołków, 166 kaplic, 35 ochronek, 16 szkół, do których uczęszcza 3600 dzieci, posiadają dalej 32 zakłady rzemieślnicze, 5 sklepów spożywczych, własny bank, drukarnie, księgarnie, jeden miesięcznik polski p. t.: »Maryawita« i miesięcznik litewski. Na czele wszystkich stanął ksiądz Kowalski, nazwany biskupem.

Jak wspomnieliśmy zajął się maryawitami bardzo gorliwie schizmatycki rząd rosyjski, oczywiście w nadziei, że jeśli przy jego pomocy rozrośnie się maryawityzm, to straci na tem katolicyzm polski. Nie pomogła moskiewska protekcya! Maryawityzm nietylko się nie rozszerzał, ale słabnął. Wreszcie zaczął go toczyć wrzód wewnętrzny i pękł. Tak jak maryawici oderwali się od Kościoła katolickiego, tak znowu w łonie ich samych znaleźli się odszczepieńcy. W poprzednim numerze »Rola« już o tem donosiła, że »proboszcz« warszawski został złożony z urzędu. Ba, ale ten proboszcz Żebrowski posiada w swem ręku cały majątek gminy maryawitów, na niego są zapisane ich domy i kaplice, a on biskupowi Kowalskiemu tego wszystkiego oddać nie chce. Tak samo powiada on, że Kozłowska straciła łaskę Bożą a łaska ta spłynęła na inną kobietę, Maryę Cychlarz, nawiasem mówiąc taką samą półwaryatkę, półoszustkę jak »mateczka« Kozłowska. Z Żebrowskim trzyma bardzo dużo maryawitów i tak powstało rozdwojenie. Z radością więc można stwierdzić, że maryawityzm się kończy.

Jeszcze raz okazało się o Kościele katolickim, że nawet »bramy piekielne nie przemogą go«.

Jak się Florek cieszył w zapusty.

„Pojeść, popić, potańcować,
Musi bieda pofolgować,
Krajem piekła, krajem nieba,
Ucieszyć się w zapust trzeba“;
Tak powiedział sobie Florek,
Jadł, pił, hulał w tłusty wtorek.

Dziesięć koron dał do basu,
A dwadzieścia do szynkwasu,
Za kiełbaski, za „werdzina“,
I za kilka flaszek wina,
Za rozmaite trunkowości
I dla siebie i dla gości.

Lecz nie na tem koniec straty
Łyknąwszy z rumem herbaty
Krew na nowo w nim zawrzała,
Więc z kumoską — hula — drała,
Poszedł w taniec; podrygują
W prawo, w lewo, to boczkują.

Coraz prędzej, kumą kręci,
Aż tu na raz! wszyscy święci!
Hrrrum... z kumoszką na basistę,
Klarnecistę i prymistę!
Klarnet, skrzypce ocalały,
Bas rozleciał się w kawały!

Basista mu z flegmą rzecze:
— Za bas sto koron człowiecze.
— A żeby cię trzasnął „pieron“
Za taki trzop chcesz sto koron
Cielęś w nim pasł całe lato!
— Zapłacicie, stać was na to!

Florek kirny, nie zna szpasu,
Kazał grać — grają bez basu,
Porwał kumoskę w objęcie
I hula dalej zawzięcie,
Aże w tańcu się zeznoił...
Gruch... i głową w szynkwas skroił!

Łeb rozwalił, krew się leje,
Od boleści aże mdleje,
Koledzy go wodą krzeszą,
Okrzesili, do dom spieszą,
Krew się ze łba leje ciorkiem
Zaszli do dom wreszcie z Florkiem.

Oj! pamiętał długo Florek
Ten zapustny, tłusty wtorek,
Trunkowości i kiełbasy,
Potłuczone chłopu basy,
Dwieście koron kosztowały
A łeb bolał miesiąc cały!

Jantek z Bugaja.

Francuz na zapustach w Berlinie.

Było to niedługo po wojnie prusko-francuskiej, kiedy pewien Francuz bogaty pojechał do Niemiec na zapusty do swojego znajomego. Ponieważ nie znał ani drogi w Niemczech, bo tam jeszcze nie był, ani języka niemieckiego, więc się przed czasem postarał o mapę niemieckiego kraju. Ale niestety! Nieszczęście chciało mu towarzyszyć w tej drodze, więc i mapa nie była mu potrzebna.

Dzień przed wyjazdem z domu przygotował, co mu było potrzebne do drogi, a więc: pieniędzy dosyć dużą sakwę, nieco pożywienia i wina i także mapę owiniętą w ceratę. Ale gdy wyjechał z domu i był już kika mil w drodze, rozwija ceratę, żeby zbadać nieco drogę w Niemczech i spotyka go zawód, cerata próżna, mapę z niej ktoś w domu zabrał, on zaś próżną ceratę. Ale jednak się nie wraca, bo dumny był w swoją kieszeń, że do celu dojedzie i nie zginie.

Gdy już w kraju niemieckim się znalazł, był jak niemy, gdyż on nikogo nie rozumiał, ani jego nikt, a tem gorzej było przy kupowaniu biletu kolejowego. Jednak jak mógł, tak się biedzie oganiał, dopóki mimowolnie nie zdążył do Berlina. W Berlinie czekały go głodowe zapusty, pomimo, że miał ze sobą duży zapas pieniędzy, bo żywność, jaką miał z domu, zostawił gdzieś w pociągu.

Gdy się znalazł w Berlinie, postanowił tam zabawić dłużej i obejrzeć to miasto. Ale niestety brak języka w gębie, a ten, jaki miał z Francyi, to w Berlinie był nieznany. Chodzi jednak po ulicach, ogląda co może, ale nic nie rozumie, bo tam i napisy są niezrozumiałe dla niego.

Po kilku godzinach brzuch jego upominał się o swoją należytość. Tak, trzeba coś kupić do zjedzenia, ale gdzie? Były, prawda, napisy na sklepach, ale niemieckie, więc ich nie mógł zrozumieć. Więc brzuch powiada:

— Odłóż pychę na chwilę i pytaj się Niemców na migi o jaki hotel, bo inaczej źle będzie.

I tak się stało. Na migi jakieś Szwabisko pokazało mu hotel, gdzie z radością wstąpił. Tam zaś pokazuje palcem do gęby, żeby mu dali jeść, ale Niemiec znów coś do niego bełkoce, czego nasz Francuz nie rozumie, tylko się palcem po zębach trąca. Lecz nie wiedział, gdzie się znalazł i kogo ma przed sobą. Usłużny gospodarz dał mu stołek piękny i pokazał, żeby usiadł. Za chwilę przyszedł znowu tenże Niemiec i przyniósł jakieś nieznane Francuzowi narzędzie, które po krótkiem obejrzeniu jego twarzy wpakował mu do gęby. Francuz zdziwił się bardzo takim obrotem rzeczy, jednak rozumiał, że mu Niemiec bierze z gęby miarę, jak duże mają być kawałki mięsa lub czegoś innego.

Gdy tak rozmyśla, czuje wielki ból w gębie i zarazem zdrowy ząb wyleciał mu z gęby na podłogę. Do tego czasu nie wiedział, co znaczy ból zębów, aż się teraz przekonał, lecz niepotrzebnie. Jeszcze na domiar złego musiał zapłacić za operacyę zdrowego zęba i przekonał się, że to nie był żaden hotel, tylko dom cyrulika, wyrywającego zęby.

Nauczony przykrem doświadczeniem, postanowił już nie dać się oszukać. Nieubłagany głód zapędził go na inną ulicę i jak mógł odszukał upragniony zbiór jedzenia. Tu znów pokazuje palcem do gęby. Ale że się zmówić z Niemcem nie mógł, więc ci podali mu spis potraw, żeby chociaż w ten sposób jego życzeniu zadosyć uczynić. Ale i ten spis był niemiecki. Na los szczęścia pokazał w pierwszej linii. Dostał szklaneczkę czarnej kawy i więcej nic.

Zażądał drugi raz spisu i co pokazał, to dostał, mianowicie czystą zupę cebulową, herbatę bez cukru i na tem koniec. Pokazali mu rachunek, z którego jednak był głupi, tylko położył na stole gruby banknot a resztę mu wydali.

Nadszedł wieczór i noc a Francuz błąkał się po ulicach Berlina, aż go znalazł stróż bezpieczeństwa i wsadził do kozy, a że trudno było znaleźć tłumacza, przesłuchany był dopiero na drugi dzień popołudniu, po którem dostał śniadanie, a następnie za jego pieniądze kupili mu bilet kolejowy do granicy i pojechał bezpiecznie.

Takie zapusty miał Francuz w Berlinie, o którym nawet nie wiedział, że się tak nazywa.

Jan Krajdocha.

Walka o „Olszynkę“ pod Grochowem.



Hej! zachulał wicher w slepie,
Dmie tumany śniegu w ślepie!
Trudno ruszać człeku usty,
Choć to ponoć są zapusty;
Lecz wnet będzie znój:
Pod Grochowem bój!

Wali Dybicz z wielką siłą,
Aż się słońce w chmurach skryło,
By nie patrzeć na te mordy,
Jakie stoczą dzikie hordy
Pod Grochowską wsią,
Polsko, z działwą twą!

Już się starły wrogie siły,
Z ostrzy szabel skry strzeliły...
Przebóg!... Moskal naprzód wali..
Lecz Polacy sił dobrali
Z hasłem: „Wiara! Bóg!“...
... Zmykać musiał wróg!

Tak trzy razy, jak ta fala,
Co tu i tam się przewala,
Dwa się wojska kołysały,
O „Olszynkę“ bój staczały,
Pośród gradu kul
Wśród Grochowskich pól.

A choć przemoc górę wzięła,
Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki jeden Polak żyje,
Póki jedno serce bije,
Bo jest z nami Bóg:
Musi zczeznąć wróg!



MACIEK BZDURA GADA:

O jej! co ja mam z temi ludziami, to strach i skaranie boskie! Tak ci mnie pokochali, jak wsy zydowską brodę i ani rus od ich miłości się obegnać. Z chłopami to ta jesce pół bidy, ale z babami, to la Boga! Cy to panna, cy męzatka, cy nawet, nie przymierzając, gdowa, to ją taka na mnie oskomina zbira, ze pchają listy za listami do mnie, zebym się z niemi zenił, a kuzdaby mnie chciała za swego šturkaca. Oj, zebym ja miał dziesięć gęb, tobym se wzion dziesięć bab, niechby mi kuzda zarcie gotowała. Ale ze to Pon Jezus juz tak cłeka upośledził i dał mu ino jednę gębę do jedzenia, to tem samem nakazał, aby i jednę babę mieć do gotowania warzy.

Nic mi to dziwnego, ze mnie baby tak umiłowały, bo kuzda baba na chłopa, zwłasca na takiego jak ja, łasa, ale i mężczyźni lubią mnie okrutnie.

Aby wam dokumentnie to udowodnić, ze nie łgam, a i trochę la tego, ze to dzisiaj tłusty cwartek, a przeto jest cas przeznaczony do jedzenia a nie do gadania, to wam posyłam listy, jakie do mnie rozmaite porządne ludzie pisali.

Pan Pieter Lipowiak to mi takie wirstle wyrznął:

Do Maćka Bzdury!

Maćku grubą zimę czujesz,
Że o babie szpekulujesz;
Sięgasz rady u Arona,
Z pewnością pachnie ci żona;
Lepiej po wsi drażnić koty,
Niż do dziewek iść w zaloty,
Każda na cię stroi dąsy,
Boś ty Maciek golowąsy!
Pokąd wąsa nie zakręcisz
Darmo do się dziewki nęcisz.
Gdy ci gwałtem trzeba żony,
Zapuść wąsy, tnij kołtony,
Bo to dziewkom nie uciecha,
Gdy kołtony tak, jak strzecha,
Najeżone wiatrem — stoją —
Wszystkie cię się dziwki boją.
Chcesz byś miał wąs siaki taki
Pakuj w nos kilo tabaki,
Bo i wąsy trzeba sprawić,
Albo też sztuczne przyprawić,
Choćby z krowiego ogona!
To się prędzej znajdzie żona...
Tobie Maćku Bzdura, zuchu,
Zdałaby się śrubka w uchu,
Bo to jakoś bez kolczyka
To wyglądasz już na stryka.
Na co twoja mądrość zda się
Štucerować się po czasie,
Przyjdzie post czterdziestodniowy
O żeniaczce ani mowy.
Do namysłu dwa tygodnie
Daję ci, abyś się modnie
Na nowo fotografował —
Nie będziesz tego żałował,
Może jaka czytelniczka „Roli“
Namyśli się choć powoli,
Być Bzdurzyną, a dlatego
Jak nie znajdzie już lepszego.

Mądrze radzą pan Lipowiak, ale ze ja na tabakę ni mam grajcarów, to pcham codziennie do nosa garść piasku, a to na jedno wyjdzie.

Jesce mądrzy radzą mi pon Pieter Kędzierski, bo mi się kazują ucyć tańcować i tak pisą:

Przestroga dla Maćka Bzdury:

Mój Maciusiu, co ty robisz,
Wszystkie dziewki za nos wodzisz,
Jeżeli się nie odmienisz,
To się nigdy nie ożenisz.
W naszej wiosce choć są one
Tylko w ciebie zapatrzone!
Choć cię lubią, mimo tego
Żadna nie chce cię za swego,
Mówią sobie: Cóż nam z tego
Mieć Maciusia tak ładnego,
Kiedy on nas nie szanuje
I tak ostro krytykuje.
Hulać nawet też nie umie,
Choć już tego nie rozumie,
Że być takim chłopcem ładnym,
A do tańca nie być składnym —
Więc mój Maciu, poprawże się
I tańcować naucz mi się,
Bo dziewczęta nie kochają
Tych co palce rozgniatają.
Bądź zdrów Maćku miej się dobrze,
Niech cię niebo darzy szczodrze,
Abyś babę taką dostał,
Byś z nią żył, jak pan starosta.

Ocho! tańcować to nie štuka! Juz ja się dość natańcował za krowami i kobyłami. Zreštą pon Jędrzej Wróbel obiecuje mnie tej štuki wyucyć i tak mi pise:

Maćkowi Bzdurze.

Mój Maćku kochany,
Co tak ładnie gadasz,
Swój stan opłakany
W „Roli“ opowiadasz,

Ożeńże się przecie,
To ci lepiej będzie!...
Tyle dzieuch w świecie
W Galicyi i wszędzie,..

Tem swojem gadaniem
Takeś poturbował
Serca tylu panien,
Anibyś zrachował.

Wybierajże przecie,
Bo się powściekają,
Z kim się pobierzecie
W gazecie szukają.

Zakochaj się w pannie
A nie w żadnej wdowie,
Bo wdowa ci snadnie
Przykre słowo powie.

Ochotę byś stracił
W gazecie pisywać,
Ja „Rolę“ zapłacił,
Ażeby czytywać

To gadanie twoje,
Jakby się skończyło
Na nieszczęście moje,
Przykroby mi było!

A więc se weź dziewkę,
Byle cię kochała,
Żeby ci polewkę
Dobrą gotowała.

Jak się żenić będziesz,
Przyjdę ci drużbować,
Jeśli radę przyjmiesz
Nauczę tańcować;

Boś tu gadał w „Roli“,
Że hulać nie umiesz,
A że mnie to boli,
To ty sam zrozumiesz.

Wiem ja o tem dobrze,
Że ty nie w pokoju
Legasz, lecz w oborze
Przy koniach na gnoju.

Zostań z Bogiem, ale
Długo mi się nie leń,
Lecz w tym karnawale
Raz się przecie ożeń.

Oj, co prawda, to prawda, ale sam musi być niezeniaty, kiedy mnie tak do zeniacki pili, jakby do cego dobrego.

A zeby was juz do cna przekonać o lubieniu mnie przez ludzi, to wam posyłam wirstle, jakie mi pan Wawrzeniec Pietrucha na imieniny wyrznął:

Maćkowi na imieniny.

W dniu twoich imienin!
Drogi Maćku Bzduro,
By ci powinszować
Ja chwytam za pióro.

Życzę Maciuś tobie
Wszelkiej pomyślności,
Ażeby ci Kaśka
Nie łamała kości!

Bo wiedz nieszczęsny,
Że kto ją dostanie,
To będzie miał zawsze
Siarczyste „lanie“.

Dalej życzę tobie,
Żeby na zapusty
Twój brzuszek kochany
Nie był nigdy pusty.

Tylko strzeż się!
Jak „se“ pojesz kapkę
I nie kładź marcypanów
W organisty czapkę!

Bo jak organista
Swą cierpliwość straci,
To za te „grzeczności“
„Bukiem“ ci zapłaci.

A na ostatku proszę,
Bardzo ślicznie ładnie
Za tę babraninę
Nie gniewaj się na mnie.

Mam jesce innych pisaniów całą torbę, ale wam nie posyłam, bobyście się zacytali i o zapustach zapomnieli a to byłoby z wasą stratą a z korzyścią gospodyni.

KULIG,

czyli jazda wesoła w czasie zapust od wioski do wioski, kończąca się wieczorem ochoczą zabawą i tańcami.



O TAŃCU.

Podobnie jak w każdym człowieku z osobna duchowość jego objawia się w zewnętrznem usposobieniu, tak i duch całego narodu uzewnętrznia się w jego »charakterze narodowym«. A to wypowiadanie się ducha na zewnątrz, szlachetnych zwłaszcza jego popędów, odbywa się najzwyklej za pośrednictwem pieśni, muzyki, zdobnictwa, budownictwa i innych sztuk pięknych. Najjaskrawiej jednak to ujawnienie ducha widać w muzyce i pląsach czyli tańcach. Taniec u każdego narodu, to jego sztuka najpierwotniejsza i najwięcej rodzima. Każdy naród ma swój odrębny taniec.

Przepiękne były u nas w Polsce tańce. Dziś je zaniedbano. Ustąpiły miejsca krętaninie na niemiecką modę. Prawdziwy polski taniec spotyka się dziś jeszcze u ludu i to gdzieś w zapadłym zakątku. A i tu coraz więcej ten piękny objaw ducha narodu zamiera. Więc go ratować trzeba! Rozbudzony dziś ruch ku sztuce rodzimej wyciąga z ludowej skarbnicy przepiękne motywa malarskie i budownicze, ręka prawdziwego artysty uszlachetnia grube linie i przepysznie zdobi niemi ściany, sprzęty, tkaniny, by wszystko tchnęło swojszczyzną, a o zabawę na »swojską nutę« nikt nie dba. Najpatryotyczniejsze towarzystwa poczynają dziś swe zabawy brukowym walcem na niemiecką nutę. Chłopi nasi, ciężko zazwyczaj obuci, o ruchach szerokich i zamaszystych kręcą się już tylko na »pańską modę«, stąpając sobie wzajem po nogach i obijając się łokciami po bokach. Widok takiej krętaniny robi przykre wrażenie Patrzący na to zdaleka widzi przed sobą jakby kupę szaleńców, wprawionych jakąś siłą w ruch bez ładu i składu.

A przecież taniec jest sztuką, a więc rzeczą miłą dla oka i ucha być winien. Zapomnieli ludzie o tem w dzisiejszych czasach samolubstwa. Dzisiaj każdy dla siebie, a poświęcić się odrobinę do wytworzenia jakiegoś dobra, np. piękna, nikt nie chce. A tego wymaga właśnie taniec. Bo taniec jako sztuka jest rzeczą przedmiotową, a nie podmiotową. To znaczy taniec jest więcej zabawą dla tych, co go wykonują. Tak tę rzecz zawsze pojmowano i na tej zasadzie wytworzono piękne tańce narodowe.

A nasza Polska w tem przodowała wszystkim narodom. Polskie tańce przejął dziś świat cały i z uwielbieniem zdobi niemi swe zabawy. A u nas coraz więcej się je zaniedbuje! Takich krakowiaków, mazurów, obertasów lud nasz dziś już nie zna. — Uprawiają je jeszcze po pańskich salonach, ale jak? W kusym fraczku i lakierowanych trzewiczkach robi się z prawdziwego piękna dziwoląg.

Najbardziej typowymi tańcami polski to: krakowiak i mazur. Krakowiak tańczony w barwnej karazyi lub bodaj sukmanie, w czapce z piórem i brzęczącym kółkami pasem, z przyśpiewkami przed muzyką, wyraża cały charakter Polaka; jego żywość, elegancyę, dowcip i tę wrodzoną polskiemu plemieniowi krzepkość. W dziarskim znowu mazurze ujawnia się to zacięcie i niepohamowana siła, które znamionowały naszych przodków-rycerzy. »Goniony«, »Przebiegany«, »Miotlarz«, »Ogrodnik« i tyle, tyle innych, każdej wsi lub okolicy właściwych tańców, ile to piękna a ile uciechy w sobie mieszczą! Nie dajmy im zamierać. Starzy niech młodszych pouczą, jak to dawniej bywało. Ochoczo a pięknie, po narodowemu. Wtedy i duch się inny w człowieku budzi. W takiej ochocie »na swojską nutę«, to tylko szlachetnie się myśli i czuje, po polsku i po bożemu. Bądźmy Polakami wszędzie i zawsze, nawet w tańcu.

Ks. Władysław Staich.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

W chacie Hriszki zwiedziliśmy tylko jednę izbę, miała ona przecież ich trzy. Izba ta była szczupła, o jednem okienku, sprzęt w niej mizerny, prostaczy, składający się z tapczana słomianego, okrytego kawałem grubego płótna, skrzyni drewnianej, ławy i obrazu świętego, zawieszonego w rogu, przed którym paliła się lampka. Tu znajdujemy pannę podczaszankę Hryniecką.

Nieszczęście ją zmogło, przygnębiło, odbiło się na delikatnej twarzyczce, czyniąc ją więcej jeszcze piękną. Czołko zmarszczki lekkie pokrajały, policzki zbladły, oczka płacz zaczerwienił. Porwaną została w omdleniu; gdy do siebie przyszła, znalazła się w tej izbie, więzieniu, pośród nieznajomych i wstrętnych twarzy. Z początku nie wiedziała, gdzie jest, nie dowierzała, iżby nowe nieszczęście dotknąć ją miało. Wkrótce atoli się przekonała, że nie koniec jej goryczom. Dopiero rozpoczęła spożywać czarę boleści.

Jak ptaszynka, gdy ją do klatki zamknie człowiek, w pierwszej chwili rzuca się na druty, słupki, sądząc, że je złamać potrafi, tak panna Aniela z początku wszelkiemi siłami starała się o to. Niestety! Sił nie miała, opuściła też wkrótce rączki, pochyliła głowę i pociechy szukała w płaczu. Zapowiedział jej Hriszko sam, żeby na próżno »nie buntowała«. Potwierdziła to samo »żonka« atamana.

— Spokojna bądź serce, gołąbko — mówiła — cóż robić? Stało się. Hriszka człek zawzięty, srogi, straszny. Wojować z nim... och! Boże zachowaj! Rozgniewać go łatwo, a gdy w złość wpadnie... zabićby gotów...

— Com ja mu winna? co? — zawodziła dziewka, łamiąc ręce. — Poco mnie trzyma w zamknięciu?

Na to stara głową trzęsła, szepcąc:

— Winnaś ty nie jest serdeczna. Matka twoja winna, że cię kraśną urodziła.

Zamilkła Aniela, ogarnęła ją rozpacz niema. Trzymano ją w zamknięciu, dlaczego, nie wiedziała. Pytając staruszki, która jedyną prawie towarzyszką jej była — odbierała dziwne, zamglone, niejasne odpowiedzi.

Stara, dobrego serca snać kobieta, nie chciała jej przerażać, choć wiedziała, co ataman zamyśla. Pod owe czasy handel kobietami był w pełnym rozwoju. Wyrodził nawet specyalny gatunek ludzi. Porywali młode dziewczęta i sprzedawali je Turkom.

*

Nazajutrz po rozmowie Hriszki z Batohem siedziała Aniela przy oknie, zapatrzona w lesistą przestrzeń. Siedziała bez słowa, bez ruchu, do figury podobna. W przeciwnym kącie izby stara »żonka« atamana przędła kądziel.

Aniela zwróciła oczy na starą.

Ta zatopiona nad robotą nie widziała nic prócz nici, którą kręciła w rękach. Śpiewała bezwiednie, piosnka sama się z jej ust wyrywała.

— Smutna twoja piosnka — odezwała się podczaszanka.

Podniosła głowę stara, spojrzała na nią, pomyślała, jakby szukając odpowiedzi na tę odezwę.

— Smutna, smutna! — zamruczała. — Alboż jest co wesołego na świecie? Tyś młoda... młodość, powiadają, wesele, ot, jakież twoje wesele?

— Boża wola — powtórzyła głucho Aniela.

— Nie martw się, nie martw, gołąbko. Kto wie, co jutro przyniesie. Mnie żal bierze, gdy patrzę na ciebie, ani pomódz, ani zaradzić nie mogę. Samam ja...

Nie dokończyła, obejrzała się z pewną trwogą wokoło. Panna Aniela żywo powstała z miejsca.

— Mogłabyś poradzić, gdybyś chciała — rzekła.

— Ja? Poradzić? Dziecina jesteś młoda, nie wiesz sama, co mówisz — odparła staruszka.

— Mogłabyś — zawołała Aniela. — Sama jesteś ze mną, w nocy drzwi jeno otworzyć, dać wyjść.

— A! a! — mruknęła kobiecina. — Co ci w głowie? *On* zabiłby mnie z pewnością, zaknutował. — Hriszko straszny jest... W złość gdy wpadnie, nic świętego niema. Ja go znam. Nie myśl o tem dziewko kraśna, to próżnica! Nie myśl. Może Bóg ci pozwoli do swoich wrócić... ale ja poradzić nic mogę. Zabije, zamęczy... Och! straszny człowiek jest!

Łzy dwoma strumieniami wybiegły z poza powiek Anieli, zakryła dłońmi twarz i płakała. Staruszka spojrzała na nią, twarz jej wyrażała współczucie.

W tej chwili do izby wszedł młody człek, z kozacka odziany, smukły jak topola, twarzy gładkiej, na której rozkwit młodzieńczy jaśniał. Wszedł niepewnie, z wahaniem, stanął na progu zakłopotany, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Ostap? — zwróciła się do niego stara. — Ty po co?

Zapytany siadł naprzeciw Anieli, patrzącej nań z obawą; oczy to spuszczał na dół, to podnosił do góry, to niemi po stronach rzucał.

— Batko cię przysłał? — zagadnęła znowu stara.

— Nie... Semem przyszedł do was — odparł.

— Z czemże?

— Ot... tak sobie. Przyszedłem gadki waszej posłuchać matko... popatrzeć na was.

Staruszka głową zakręciła.

— Ej... Ostapku — synku... coś innego na myśli masz.

— Cóżbym miał? Zatęskniłem się, dawnom was nie widział.

Urwał i dodał po chwili.

— Ciężko mi jakoś na duszy, nijako! niewiem gdzie się mam podzieć...

— Ciężko ci synku na duszy — zagadnęła stara. — Biednyż ty! Ja wiem, że ci tu w tej puszczy niemiło. Niemiło ci też pomiędzy hajdamactwem, którzy — zbaw Boże — ludzką krzywdą żyją. Ano, wola nie nasza... ojciec im atamani. Ja jego żonką, ty syn, słuchać musimy.

— Ej... wyrwałbym się ja stąd... choćby dziś, choćby i zaraz — rzekł Ostap. — Wyrwałbym się, bom nie do hajdamactwa. Mnie ludzka krzywda boli, wstydzę się za ojca, prosto ludziom w oczy patrzeć nie mogę...

— Serdeczny mój, kochany... — żałowała go matka.

— Ojca mi nic nie przemieni — ciągnął Ostap. — Takim, jak jest, zostanie do śmierci. Słuchać go muszę, bo by mnie na pierwszej lepszej gałęzi obwiesił.

Nagle innym tonem zawołał.

— Wiesz matko... gdyby mi jedno... gdybym wiedział dokąd... nie byłoby mnie tu jutro. Rzuciłbym tę puszczę, hajdamactwo, was wszystkich i poszedłbym tam, gdzie ludzie sprawiedliwie żyją. Ziemia szeroka, starczy jej dla wszystkich.

— Byłoby to dobrze, synku, ale ojciec...

— Ojciec? nie znalazłby mnie przecie.

— Oczy ma bystre — dojrzałby z pewnością, a wtedy... chocieś mu synem... Serce poczciwe masz, nie hajdamaka — rzekła matka, obejmując go rękoma. — Ha, może Bóg da, że się zmieni nasze życie. I jam dawniej nie pomyślała, aby mi na to co dziś przyszło. Gdzie zaś! Ojcowie żyli w poczciwo-

ści, mnie wychowali także. Hriszka, ojciec twój, był dzielny człek, gdy brał mnie z domu, o łotrowstwie nie myślał, przyszła zła chwila... bies do niego przystąpił i ot, co się z niego stało.

Jęknęła boleśnie, łzy otarła, które się na zapadłych oczach zaszkliły. Aniela patrzyła na nich zdziwiona. Więc nie wszyscy ją otaczający są pozbawieni serc poczciwych, są pomiędzy nimi równie a bodaj chociać w części nieszczęśliwi. Odkrycie to dodało jej otuchy, uczuła się rzeźwiejszą. Jak błyskawica przez główkę podczaszanki przesunęła się myśl nadziei...

*

Dzień za dniem mijał. Hriszkę szał jakiś napadł. Pił od świtu do nocy, zalewał pamięć, jakby go sumienie gryzło. Staruszka żona jego milcząc wzdychała, Ostap patrzył na bezprzytomnego ojca ponuro. Aniela siedziała w izdebce na świat nie wychodząc. Nadzieja jej wzrastała z każdym dniem. Chętniej teraz rozmawiała ze staruszką, jak niemniej z młodym Ostapem, który codziennie do izdebki zachodził pod rozmaitymi pozorami. Hriszko leżał w sąsiedniej komorze pijany, żona jego, syn i Aniela we troje narzekali przed sobą, skarżyli się, wzdychali nad nieszczęściami swojemi.

Ośmielona podczaszanka codziennie większej nabierała otuchy. Była pewną, że się potrafi uwolnić. Nie śmiała jednak głośno z prośbą o pomoc się odzywać.

— Cóż bo ze mną zrobią? — myślała. Siedzę darmo... nikt się o mnie nie troszczy, nikomo niepotrzebnam, pocóż mnie trzymają.

Biedaczka ani się domyślała jak cennym była towarem dla atamana. Hriszko obiecywał sobie góry złota za nią.

Pewnego wieczora zwróciła się z zapytaniem do staruszki.

— Powiedzcie, dlaczego mnie tu trzymacie?

Zapytana ręką machnęła.

— Och! nie pytaj, krasawico... Bóg wie, co ci przeznaczono.

— Ataman zapomniał o mnie — ośmielając się, mówiła dalej Aniela. — Czem innem ma głowę zajętą. Zresztą dlaczegóżby miał o mnie pamiętać?

— Dziewko, gołąbko, nie mów tak. Nie zapomniał ci on o tobie, nie. Teraz gorzałką się zaprzątnął cały, ale o tobie pamięta. Hriszko człek prosty, ciemny, przecież oko ma bystre i rozum dobry.

— Gdybym mu z oczów zeszła, aniby wspomniał. Co jemu po mnie? Moglibyście się zlitować nademną sierotą biedną i wypuścić, pomódz do wydostania się stąd. Kto będzie wiedział, żeście wy mnie pomogli? Ja nie powiem nikomu. Wszak mogę uciec niepostrzeżenie? Podobne wypadki zdarzają się z więźniami.

— Nie! nie! Młodaś pannoczku, taj wszystko wydaje ci się łatwem. Uciekniesz, powiadasz, niepostrzeżenie. Hriszko mi ciebie na opiekę zdał, ta mi zagroził. Zabiję — mówił — na śmierć zabiję skoro jej nie ustrzeżesz.

Aniela zawiedziona, główkę opuściła.

— Uciekniesz, powiadasz? — ciągnęła stara. — Nic ci z tego nie przyjdzie. Toć puszcza naokół, bez szlaku, bez przejścia. Nim zajdziesz do ludzi zwierz cię może rozszarpać. A czybyś zaszła? Czybyś trafiła? Obłąkałabyś się i głodnąbyś zmarła śmiercią. Hm... i Hriszko wnetby pogonił za tobą z chłopcami, pogoniłby, najechał i cobyś wskórała?... Nie myśl o tem pannoczku, nie myśl!

Niedługo po tej rozmowie nadszedł Ostap — skłonił się Anieli i siadł swoim zwyczajem w kącie na ławie.

— Cóż ojciec — zapytała go staruszka.

— Śpi — odparł krótko, po chwili zaś widząc Anielę niezwykle smutną, ozwał się: — Pannoczko, co wam dzisiaj takiego? Czego płaczecie?



...Siedziała bez słowa, bez ruchu.

— Albożnie mam czego? — zawołała podczaszanka. — Trzymacie mnie w więzieniu.. Nieszczęśliwa jestem sierota!

— Prawda, złota pannoczku, żeś nieszczęśliwa, ano nie płacz i nadzieję miej. Jutro może jasny dzień zaświtać. Nie płacz pannoczku, przy mnie krzywda ci się żadna nie stanie — dodał, wstając. — Ojciec do mnie serca choć trochę ma, a ja... przed nim bronić cię będę. Życie za ciebie dam a krzywdzić nie pozwolę...

Głos mu drżał, rozlegał się dziwnie. Staruszka na syna spojrzała.

— Ostap! — cichym głosem szepnęła.

Ten nie słyszał, oczy miał zatopione w bladej twarzyczce podczaszanki.

— Ostap! — powtórzyła matka — co tobie?

— Mnie? Cóżby miało być? — odparł chłopiec nieco pomieszany.

— Ja wiem co... pójdź.

Wyprowadziła go do sąsiedniej izby.

— Tobie serce laszka wzięła? — spytała.

Milczał Ostap, uporczywie trzymając wzrok wlepiony w ziemię.

— Ojciec mi ją da.

— Żydowi zawiezie, jak wszystkie inne. Lepiej sobie głowy nie zaprzątaj nią. Nie dla ciebie. Nie da ci jej batko, to więcej jak pewne. Ona, dziewka dobra i piękna i serdeczna i jak miód lipcowy słodka, ale nie dla ciebie. Tyś prosty człowiek, ojciec na kozactwie zaczął, tobieby inszej dziewki, równie prostej a nie z białemi rączkami... Ciebie ona nie zechce...

— A gdy zechce? — przerwał Ostap.

W tej chwili ozwał się głos Hriszki z sąsiedniej komory, nawołujący »baby«. Staruszka drgnęła i zostawiwszy syna, coprędzej do wołającego pospieszyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Z TYGODNIA.

Choroba papieża. Zdrowie Ojca św. Piusa X w ostatnich czasach znacznie się pogorszyło. Ojciec św. zaziębił się i cierpi na katar i kaszel i ma gorączkę. Nie jest to zwykle zbyt ciężka choroba, lecz dla podeszłego wieku, w jakim się znajduje Ojciec św., liczący 76 lat, każda taka słabość jest dolegliwą i może sprowadzić niebezpieczeństwo dla życia.

Hajdamaki w Żulinie. Pisaliśmy w »Roli« o hałasie, jaki zrobiły gazety ruskie z powodu, że we wsi Żulinie pod Stryjem nauczyciel Polak Greis, nibyto bił dzieci ruskie za pacierz ruski. Okazało się to wierutnem kłamstwem, ale mimo to Rusini nie zaprzestali go prześladować w rozmaity sposób. Hajdamacy nie zadowolili się tem, że p. Greissowi odcięto komunikacyę ze Stryjem i zabroniono mu dostarczać artykułów spożywczych, nie poprzestali na próbie zamrożenia go z żoną i dzieckiem w szkole, nie dostarczając mu opału; mało im tego było, że biciem w okna straszono codzień rodzinę Greissów. Przed kilku dniami umieszczono na budynku szkolnym wyrok śmierci na Greissów, że jeżeli do trzech dni nie opuszczą szkoły, to wyrok będzie wykonany. Proboszczowi zaś miejscowemu, ks. Machowskiemu, zagrożono, że »mu nie stanie plebanii«, jeżeli będzie dalej bronił Greissa. Greiss myślał, że są to tylko puste pogróżki. Przed kilku dniami wyjechał z Żulina w jakiejś ważnej sprawie. Siczownicy skorzystali z jego nieobecności i o północy napadli na szkołę, w której znajdowała się tylko chora Greissowa z dzieckiem. Bandyci wybili drągami okna wraz z ramami. Greissowa jednak zdołała wraz z dzieckiem schronić się na plebanię. Ks. Machowski zawiadomił natychmiast o napadzie starostwo i żandarmeryę, która rozpoczęła śledztwo.

Śledztwo rosyjskie w Częstochowie. Rząd rosyjski ogłosił wyniki śledztwa, przeprowadzonego w klasztorze Częstochowskim. Nie są one dla zakonników częstochowskich pochlebne, ale nowi zakonnicy pouczeni już doświadczeniem poprzedników, będą sumienniejsi i poczciwsi. Car zniósł przyznane klasztorowi prawo przyjmowania do klasztoru 50 zakonników, ale ograniczył przyjmowanie do liczby 24 zakonników, nadto zarządził, aby do klasztoru nie przyjmowano zakonników niżej lat 24.

W ogłoszeniu tem rząd rosyjski przyznaje, że cudowny obraz Jasnogórski czczą także Rosyanie i że rząd rosyjski zajmował dotąd wobec klasztoru zawsze przychylne stanowisko.

Rosya boi się Austryi. Dzienniki łamią sobie głowy, dlaczego Rosya ogałaca coraz bardziej Królestwo Polskie z wojska i rzecz tę tłómaczą w ten sposób: Wiadomo, że przed dwoma laty z powodu zagarnięcia przez Austryę Bośni, o mało nie przyszło do wojny między Austryą i Niemcami a Serbią i Rosyą. Wtenczas pono miała Austrya z Niemcami przeciw Rosyi taką wojnę uplanować. Austrya miała wkroczyć do Królestwa Polskiego i ogłosić wolność Polski za to, jeżeli Polacy jej pomogą do pokonania Rosyi, zaś Niemcy mieli przeprawić swe wojsko okrętami na północ od Królestwa Polskiego i tak z dwóch stron, od południa i północy, rozpocząć z Moskalem wojnę. Rosya dopadła tych planów i dowiedziała się o wszystkiem. Ponieważ jednak jest ociężała i nie może tak prędko jak Austrya i Niemcy zmobilizować wojska, przeto na wypadek wojny i takby nie powstrzymała wroga od granicy i na wstępie zostałaby zaraz pobitą, wolała więc wojska swe wycofać z granicy w Królestwie Polskiem i skupić je dalej w głębi swego kraju w bezpieczniejszem miejscu.

Proces o awantury akademików ruskich. Od kilku dni toczy się we Lwowie niezwykły proces 101 ruskich akademików, którzy w lipcu zeszłego roku napadli na uniwersytet lwowski i jak banda rozbójników niszczyli w nim co tylko padło pod rękę i strzelali z rewolwerów. Rzucili się na grupkę polskich akademików, którzy spokojnie opodal stali i strzelali do nich i obrzucali kamieniami i polanami drzewa. Zawrzała walka na śmierć i życie; studenci Polacy nie mieli broni i gołemi rękami musieli odpierać rozjuszonych Rusinów. Wtem któryś z Rusinów trafił zamiast Polaka, do którego mierzył, Rusina Adama Kockę i położył go na miejscu trupem. To na chwilę przerwało walkę, potem weszła policya, która u studentów rusińskich znalazła kilkadziesiąt rewolwerów i brauningów i 80 sztuk innej broni a następnie ich aresztowała. Niezwykłemu szczęściu należy zawdzięczyć, że z Polaków nikt nie odniósł ciężkiej rany, natomiast Rusini, bijąc i strzelając na oślep, jednego z pośród siebie zabili a kilku poranili. Proces ten potrwa jeszcze przez 3 tygodnie. Początkowo w procesie nie chcieli akademicy rusińscy odpowiadać po polsku i żądali, aby rozprawa była prowadzona po rusku.

Samorząd ziemski w Królestwie. Komisya dla spraw samorządów miejscowych rozdała członkom Dumy w Petersburgu referat komisyi o tem, że wprowadzenie ziemstw w Królestwie jest pożądane. Według tego referatu w biurowości wewnętrznej, oraz w objaśnieniach ustnych dozwolony jest język polski. W Warszawie ma być utworzony jeden urząd wspólny dla wszystkich ziemstw gubernialnych. Co do ludności rosyjskiej w guberniach lubelskiej i siedleckiej, mają być wydane prawa specyalne, korzystne dla Rosyan, niekorzystne dla Polaków.

Porwanie naczelnika policyi wileńskiej. Przed kilku dniami naczelnik wileńskiej policyi tajnej, Aładin, leczący się w szpitalu profesora Markowskiego w Wilnie, został stamtąd w nocy z 14 na 15 b. m. przez anarchistów uprowadzony. Jenerał gubernator wileński znalazł na swojem biurku list tej treści: »Zabraliśmy Aładina, aby się z nim rozprawić i pomścić na nim wszystko złe, które on nam wyrządził«. Podpisali: »Anarchiści litewscy«. — Zapewne go zamordowali.

Prusacy szpiegują Polaków. Pruska tajna policya śledzi na każdym kroku polskich duchownych w Księstwie Poznańskiem. Całe to szpiegostwo pruskie jest zwrócone przeciw Polakom i katolickim polskim księżom. Tajna pruska policya szpieguje ustawicznie także polskie związki sokole i oczernia je przed rządem pruskim, który tylko czeka na sposobność, aby taki związek rozwiązać lub sekować. Wymawiają to rządowi pruskiemu publicznie w sejmie pruskim polscy posłowie.

Zakazane piosenki. Sąd bytomski na Śląsku wydał wyrok na dwie piosenki ludowe: »Ja Ślązak, tyś Ślązak, wszyscyśmy Polacy« i »Weselmy się, nadszedł czas rocznego istnienia« (towarzystwa) uważając je za podburzające do gwałtów. Dziesiątki lat śpiewano te piosnki na Śląsku, a dopiero teraz zostały uznane przez Prusaków za niebezpieczne.

Rozbiór Chin. Anglia, Francya i Rosya przystąpiły wspólnie do zagrabienia Chinom kilku bocznych krajów i pewnie im się to uda. Państwo chińskie pod względem liczby ludności jest największe na świecie, bo liczy 400 milionów mieszkańców, ale mimo to jest tak słabe, że pierwsze lepsze europejskie państwo mogłoby je pobić. Powodem tej słabości Chin jest nieudolne wojsko. Chińczycy są poganami i wyznają religię Braminizm.

KRONIKA.

„Podarek Szczęścia“. Po losowaniu odbytem 9 stycznia, kilkakrotnie wzywaliśmy w gazetce tych Prenumeratorów, którym los przyniósł Podarek Szczęścia, aby nadsyłali wyznaczone kwoty na przesyłkę tych Podarków. Większość zrobiła to i otrzymała Podarki. Po upływie miesiąca wysłaliśmy oprócz tego karty karespondencyjne z zawiadomieniem o wygranej do tych jeszcze nielicznych prenumeratorów, którzy mimo wezwań pieniędzy na przesyłkę nie nadesłali. Mimo to jeszcze czternastu wygrywających nie zgłosiło się nawet na to ostatnie, wprost do nich wystosowane wezwanie.

Dlatego wyczekawszy jeszcze dwa tygodnie zarządziliśmy w dniu 22 lutego powtórne losowanie nieodebranych 14 Podarków i ogłaszamy tu wynik tego losowania. Wygrali mianowicie:

Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej:

Franciszek Cyran w Markowej.

Książki do nabożeństwa dla starszych (po 2 kor.):

Józef Witek w Śmignie.
Jan Miecik w Wyciążach.
Piotr Kędzierski w Przedmieściu.
Franciszek Konior w Czańcu.
Jan Fornal w Wierzchosławicach.
Barbara Siwkówna w Górnej Suchej.
Michał Pietryka w Berdechowie.
Józef Pelczar w Korczynie.
Jan Trojan w Lubczy.
Wojciech Wielgus w Gumniskach Fox.
Walenty Orzech w Czarnej.
Franciszek Markiewicz w Strzałkowicach.
Teodor Burian w Łąkach.

Upraszamy wszystkich tych Szanownych Prenumeratorów, aby niezwłocznie nadesłali po 55 hal. na koszta wysyłki wygranych książek pod adresem Redakcyi »Roli«, Kraków, ulica św. Tomasza 32.

(W. Ż.) **Straszny wypadek** zdarzył się na stacyi koiejowej w Spytkowicach dnia 13 b. m. Jan Folga z Miejsca Spytkowskiego wstąpił sobie na zagrzankę do propinacyi Jana Zajdy obok stacyi kolejowej spytkowskiej. Tam wypił sobie za 80 halerzy rumu i nabrał takiej śmiałości, że poszedł na stacyę wyżej wspomnianą i tam, chcąc ujść przed służbą kolejową przeszedł za zwrotnicę. Tam korzystając z tej chwili, że go nikt nie widzi, przyszedł na pomysł ale bardzo nieszczęśliwy dla niego. Właśnie wtedy wyjeżdżał pociąg z Trzebini z próżnemi wozami. Folga chciał sobie skrócić drogę do domu, oddalonego 3 kilometry drogi. Przez wieś, w której mieszkał przejeżdżał ten pociąg, więc Folga na rampie wskakuje do próżnego wozu, ale tak nieszczęśliwie, że, poślizgując się, wpadł pod koła pociągu, które odcięły mu obydwie nogi: jednę powyżej kolana a drugą poniżej kolana.

Z miejsca wypadku wzięto go i najbliższym pociągiem odwieziono do szpitala, gdzie do reszty odjęli mu nogi. Ale biedaczysko nie mógł wytrzymać bolu strasznego. Sprowadzono mu księdza z Wijatykiem. Wyspowiadawszy się, przyjął Komunię świętą i wśród strasznych boleści zmarł tego samego dnia w nocy. Jan Folga liczył zaledwie 22 lat życia i uległ strasznemu wypadkowi dzięki jedynie wódce.

(S. C.) **Poparzone dziecko.** Tymi dniami poparzyło się dziecko gospodarza Materny w Lubeni, a stało się to w ten sposób. Piekło ono sobie na kuchni ziemniaki, wtem ławka się pod niem przewróciła, a dziecko, chcąc się ratować, uchwyciło się baniaka z wrzącą wodą i poparzyło się w okrutny sposób tak, że na drugi dzień umarło.

Śmierć wskutek zamarznięcia. Z Żydaczowa donoszą nam: W poniedziałek 13 b. m. wyjechał z Łówczyc gospodarz tamtejszy Ilko Saldan, Rusin, po opał do lasu w Obłażcicy, oddalonej od Łówczyc o kilka kilometrów. Wracając wieczorem przez wieś z naładowaną furą drzewa, wstąpił do karczmy i wypił coś niecoś »na rozgrzanie się«, ponieważ mróz był siarczysty. Odchodząc z karczmy wziął pół litra wódki i wstąpił jeszcze do znajomego gospodarza, by się pogościć. Około godz. 10 wieczór puścił się przez tak zwane »łąki« między Obłażcicą a Łówczycami do domu. Ponieważ droga tamtędy prowadząca nie była utarta, przeto Ilko zjechał z drogi i pomiędzy krzakami konie zapadły w głęboki śnieg. Ilko czując, że nie wyjedzie z drzewem ze śniegu, chciał zrzucić je ze sań, bo potem znaleziono kilka polan, leżących obok. Ale zabrakło mu już sił. Usiadł więc przed końmi, zapewne aby odpocząć, trzymając je za naszelniki. Tak go zastali nieżywego fornale dworscy na drugi dzień rano t. j. we wtorek, którzy wyjechali po drzewo. Przywieziono go zaraz do domu, ale wszelki ratunek był już bezskuteczny. Skostniał na śmierć. Przywieziony z Żydaczowa Dr. Grabscheid skonstatował śmierć wskutek zamarznięcia. Zmarły osierocił sześcioro drobnych dzieci. Picie wódki »na rozgrzywkę« jest głupstwem. Uczeni lekarze dawno udowodnili, że alkohol zużywa ciepło w ciele ludzkiem a nie wytwarza go. Alkohol tylko piecze na razie, ale nie rozgrzewa, przeciwnie, chłodzi. Kto się chce zagrzać i nabrać na zapas ciepła, niech się napije ogrzanego płynu, np. herbaty bez rumu albo mleka gorącego, lub podje dobrze coś tłustego: słoniny, smalcu itp.

(K. S.) **Zaczadzenie.** We wsi Czystyłów pow. tarnopolskiego, zaszedł następujący wypadek: gospodarz nazwiskiem Francisrek Tomaszewski, 42 lat liczący, we środę dnia 15 b. m. w nieobecności żony, napaliwszy w piecu zamknął przedwcześnie komin a sam poszedł na nabożeństwo do cerkwi. Po przybyciu z cerkwi, zjadłszy obiad, nie zważając na czad, położył się spać. O godzinę później przyszedł do niego sąsiad a on już wydawał ostatni znak życia. Zaczęto go ratować, ale nadaremnie. Zawsze bywa tak nieostrożnym.

Samobójstwo karła. W Hłuboczku Wielkim, obok Tarnopola, popełnił samobójstwo przeszło 50 lat liczący karzeł, Ilko Hunczak. Przed laty przyprowadził wojskowej komisyi konie chłopak, który zwrócił uwagę wojaków wyglądem swym; mimo bowiem lat już kilkunastu był wzrostu nader małego, jak kilkuletnie dziecko i taki też wzrost w dalszem swem życiu zachował. Ponieważ członkowie owej komisyi wiedzieli, że jenerał Merey poszukuje karzełka, zabrali go ze sobą i przywieźli go jenerałowi, u którego karzełek też pozostał, spełniając lżejsze usługi pokojowca. Przebywał najczęściej w dobrach jenerała w Hłuboczku Wielkim. Jenerał wyposażył karzełka, dał mu grunt w Hłuboczku pod budowę domu. Z domu tam wybudowanego miał karzeł stały dochód, a ze dworu pobierał ordynaryę. Gdy już czwarty krzyżyk przytłoczył barki karła, ożenił się. Chociaż naigrawano się często z niego na wsi, przecież znalazła się uboga dziewczyna, nawet urodziwa, która wyszła za niego i z czasem obdarzyła go dwiema córkami, zupełnie normalnie się rozwijającemi. W ubiegły piątek odbyło się w sąsiedztwie wesele, na którem karzeł wraz z żoną był obecny, powrócił jednak po chwili do swego domu i tu z niewyjaśnionych powodów wystrzałem z dubeltówki zabił się.

Wilki. Między Medyką a Sądową Wisznią pojawiło się małe stado wilków. Maszynista kolejowy,

prowadzący pociąg w kierunku Lwowa, widział je ze swym palaczem obok toru kolejowego. W dniu 13 b. m. powracał leśniczy, Roman Lewicki, z gajowym z objazdu rewiru lasowego w Sądowej Wiszni do domu; wtem spostrzegł na drodze stado wilków i pokazał leśniczemu. Koń spłoszony uniósł sanie, a leśniczy nie chciał temu wierzyć, twierdząc, że to jest stado psów, bo w tej okolicy wilków niema. Lecz gdy wilki zbliżyły się do sanek i chciały się rzucić na konia, wtedy w okamgnieniu zoryentował się leśniczy i strzelił do nich, zabił dwa na miejscu, reszta uciekła.

Oszust emigracyjny. Urzędowe ostrzeżenie nadeszło z Ameryki od konsula w San Francisko, że niejaki Stanisław Mańkowski, mieszkający w Ameryce, a który często przybywa do Europy, jest rzekomo agentem towarzystwa kolonizacyjnego. Zamierza on znowu przybyć do Galicyi, celem namawiania włościan na wyjazd do Ameryki. Namówił on naprzykład Szymona Dudka zamieszkałego w Dąbrowicy, który, sprzedawszy całe swoje mienie, wyjechał do Ameryki, wiedziony obietnicami Mańkowskiego. Dudek, przyjechawszy na miejsce, został oszukany przez agenta, gdyż sprzedał on mu ziemię zupełnie niezdatną pod uprawę.

Niezwykły podróżny. W pociągu, który o godzinie 8 rano odchodzi z Czerniowiec na Bukowinie do Stanisławowa, znaleziono na stacyi Czerniowce przed paru tygodniami w przedziale III kl. zawinięte w pieluszki kilkomiesięczne dziecię. Gdy nikt z jadących przyznać się doń nie chciał, zajęła się niezwykłym wypadkiem policya. Agent policyi rozwinął dziecię i znalazł list pisany po niemiecku z prośbą do konduktora, aby dziecko oddał córce Barucha Gernera, kupca w Stanisławowie. Gdy Gernerowi, 75 letniemu starcowi, podarunek ten oddano, zaczął rozpaczać, a na córkę rzucił największą klątwę żydowską »Chajrem!« Nic nie pomogły prośby dziewczyny, że dziecię, które w Czerniowcach urodziła, jest owocem stosunku z narzeczonym, za którego i tak za mąż pójdzie, ojciec był nieugięty i córkę, co sprowadziła hańbę na jego siwe włosy, wypędził z domu. Zajęli się nią jednakże krewni. Kupili bilet okrętowy do Nowego Jorku w Ameryce i dziewczyna, na którą zacięty ojciec patrzeć nie chciał, wyjechała w świat. Dziecko zaś stary żyd umieścił u mamki, która je karmi i pielęgnuje.



Obrazek nasz przedstawia, jak konduktor, spostrzegłszy dziecię w wagonie bez opieki, pyta podróżnych, kto je tu umieścił. Nikt oczywiście nie wiedział, bo ów »narzeczony« widać bardzo zręcznie w pustym przedziale, gdy nikogo jeszcze nie było, dziecię położył a sam zniknął. Jakoś ta cała historya opacznie się przedstawia; w podobnych wypadkach uwiedziona dziewczyna dziecko przynosi lub posyła kochankowi; tutaj stało się naodwrót; ubogi kochanek, nie mając dziecka za co utrzymać, odesłał je dziewczynie, a właściwie zamożnemu jej ojcu.

Nieudana wyprawa karczmarzy. W poprzednim numerze pisaliśmy, że posłowie socyalistyczni lwowscy zaopiekowali się karczmarzami galicyjskimi, którym nie udało się dostać koncesyi na szynkownie i że zawieźli ich do Wiednia na skargę. Nie powiodła się tym żydkom robota, bo w Wiedniu żaden z ministrów jakoś nie wierzył ich krzywdzie i odpowiadano im, że od dziesięciu lat wiedzieli, iż propinacya się skończy, zatem mogli sobie przedtem wyszukać jaki uczciwy zarobek. Prezes Koła polskiego poseł Łazarski dał im taką ostrą nauczkę, że ją długo popamiętają.



Osiągnęli jednak to, że im się Niemcy z ciekawością przypatrywali, dziwując się brudnym chałatom i długim pejsom, pozakręcanym koło uszów. Takich elegantów w krajach niemieckich nie bywa! Nasz obrazek przedstawia gromadę galicyjskich żydków, maszerujących z dworca kolei.

Proces studentów ruskich, którzy 1 lipca urządzili bijatykę i strzelaninę w uniwersytecie lwowskim, rozpoczął się w ubiegłym tygodniu. Na ławie oskarżonych zasiadło 102 Rusinów, proces potrwa parę tygodni.

Niema żartów ze strzelbą. W powiecie pułtuskim w Królestwie, odbywała się zabawa u jednego z gospodarzy wiejskich. Na zabawie znalazło się dwu przyjaciół: strzelec Władysław Kabała i Julian Dąbrowski, mechanik z sąsiedniego tartaku. Raczyli się oni obficie trunkami, przyczem Dąbrowski oglądał strzelbę Kabały, który, odebrawszy ją, zaczął wmawiać w przyjaciela, iż wyjął ładunki i żądał ich zwrotu. Dąbrowski zapewniał, iż nie dotykał się ładunków, pijany Kabała jednak uporczywie twierdził, iż w strzelbie ich niema, dla przekonania zaś przyjaciela, że tak jest istotnie, zmierzył się do niego i wystrzelił. Wynik strzału okazał się straszny: nabój strzaskał Dąbrowskiemu obie ręce.

Dość podobny wypadek wydarzył się przed tygodniem w Kołomyi. Uczeń ruskiego gimnazyum, Koszmaryło, przyszedł w odwiedziny do jednego ze swych kolegów. Na jednej stancyi z owym kolegą mieszkał uczeń Dallinger z gimnazyum polskiego. W czasie rozmowy wyciągnął Dallinger stary rewolwer, o którym nie wiedział, iż mieścił w sobie jeden nabój. Żartując, zmierzył do Koszmaryły i kilkakrotnie pociągnął za kurek. Wreszcie padł strzał i Koszmaryło, trafiony w czoło, runął na ziemię. Kula utkwiła w oponach mózgowych i Koszmaryło, nie odzyskawszy przytomności, walczy do dzisiaj ze śmiercią. Mimowolny zabójca tak się przeraził wypadkiem, iż natychmiast chciał sobie odebrać życie, czemu jednak obecni przeszkodzili.

Najbogatszy człowiek w Europie. Bogactwa Rotszyldów są przysłowiowe, lecz najbogatszym w tej rodzinie był zmarły przed paru dniami w Wiedniu baron Albert Rotszyld. Nikt nie mógł dorównać mu w Europie. Połowę zgórą tego kolosalnego majątku sam zyskał. Po ojcu wziął 400 milionów koron, a pozostawił przeszło miliard. Łatwo mu, co

prawda, przyszło nagromadzić ten majątek. Przedewszystkiem, mimo roztaczanego zbytku, nie mógł wydawać więcej, jak dziesiątą część swoich dochodów, tak iż procenty wciąż narastały; po za tem wziął największą bodaj sukcesyę na świecie. Zmarły brat, Nataniel, zapisał mu 100 milionów koron, a po śmierci swego teścia, paryskiego Rotszylda, baron Albert odziedziczył niemniejsze kapitały. Oprócz kapitałów pozostawia największe obszary ziemi w Austryi, skupione w jednem ręku, fabryki, winnice itp. Ze swego małżeństwa z baronową Betting, jedyną spadkobierczynią paryskiego Rotszylda i swoją stryjeczną siostrą, miał pięcioro dzieci, lecz tak szczęśliwy w sprawach finansowych, nie zaznał szczęścia w rodzinie. Przed laty dwudziestu zmarła mu ukochana żona. Jeden ze synów od lat wielu przebywa w domu obłąkanych, drugi odebrał sobie życie, jedyna córka jest nieuleczalnie głucha. Naczelnikiem firmy zostanie zapewne 30-letni baron Ludwik, którego ojciec obznajmiał z interesami. Zmarły wydawał duże sumy na cele dobroczynne, zwykł był jednak czynić to w skrytości. Wogóle był człowiekiem skromnym.

Figiel złodziejski. Im więcej świat postępuje, tem też przebieglejsi złodzieje, mianowicie w wielkich miastach. Kupcy wymyślają coraz nowsze przyrządy bezpieczeństwa, aby się przekonać, że złodzieje są jeszcze dowcipniejsi. Do pewnego składu w Berlinie, którego właściciel był przypadkowo sam obecny w sklepie, wchodzi elegancki pan i pysznie powiada, że chce kupić kilka koszul. Hardy głos pana zawrócił kupcowi głowę.

— To z pewnością bogaty człowiek, zarobek więc będzie nie lada — pomyślał sobie, pokazując mu i zachwalając towar.

Obecnemu wszystko było początkowo za liche i za tanie, aż wreszcie upatrzył sobie najdroższe koszule, z których kupił cały tuzin bez targu. Kupiec z radością zawijał w papier kupiony towar i w myśli już obrachował zysk, jaki dlań ze sprzedaży skapnął.

— Ah, prawda — odzywa się naraz elegancki pan — koszule dobre, ale czy też są na moją figurę?

— Ależ tak, do usług wielmożnego pana dobrodzieja — pospiesza zapewnić kupiec.

— Hm... tak pan sądzisz? Ale ja wolę się naocznie przekonać. Pan jest mniej więcej tego wzrostu co ja, może więc zechcesz przymierzyć jedną z nich?

— Ależ dobrze, służę wielmożnemu panu.

Na to tylko elegant czekał. Skoro kupiec, wdziewając koszulę, zasłonił sobie oczy, elegant skoczył do kasy w ladzie, wypróżnił ją i uciekł z pieniądzmi.

Kupiec w koszuli za nim. Ale nie uszedł daleko! Policyant stojący w bliskości, któremu elegant zwrócił uwagę na ścigającego kupca okrzykiem: — brońcie mnie, to waryat! — ucapił kupca za kołnierz i nie puścił go już mimo szamotania, bo przecież człowiek o zdrowych zmysłach nie lata w koszuli po ulicach. Zanim okradziony zdołał wyjaśnić całą sprawę, przebiegły złodziej zniknął w ulicy.

Odtąd niczem nie można było rozgniewać kupca tak bardzo jak pytaniem: »po czemu u niego koszule?«

Dziki książe rosyjski. Młody książe Włodzimierz Kosołowski, jeden z pierwszych oficerów garnizonu irkuckiego w Syberyi, chwalił się pewnego razu swem celnem strzelaniem. Gdy towarzysze jego nie chcieli jakoś przechwałkom jego uwierzyć, założył się z nimi, że zrzuci żołnierzowi wystrzałem czapkę z głowy, poczem wykonał ów zamiar lekkomyślny i to z tym skutkiem, że położył biednego żołnierza trupem na miejscu. Za tak »małe« przewinienie nie pociągnięto księcia do odpowiedzialności; musiał on tylko złożyć swój urząd. Protekcya i znajomości, jakie książe posiadał, ułatwiły mu niebawem objęcie stanowiska naczelnika ziemskiego w Stawropolu. Na tem stanowisku wykraczał jednak tak dalece poza obręb swej działalności, że otrzymał dymisyę. Dostał się teraz znów do Irkucka ale i tu długo nie wysiedział; łapówka bowiem jaką pobierał, zbyt była widoczną, aby nie miała narazić na nieprzyjemności. Wszelkie fałszywe protokuły nic nie pomogły; książę musiał stanąć przed sądem. Próbował raz jeszcze ucieczki, ale go pochwycono, poczem skazał go sąd na cztery lata ciężkich robót. Jednocześnie nadszedł wyrok sądu nowoczerkaskiego, skazujący go za różne przestępstwa, popełnione na stanowisku naczelnika ziemskiego, na wcielenie do pułków aresztanckich na przeciąg czterech lat i utratę wszelkich praw. Książę Kosołowski pochodzi z jednej z najstarszych rodzin szlacheckich rosyjskich.

Śmierć przez zmarznięcie. Pomocnik krawiecki z Seretu, nazwiskiem Weber, wybrał się dnia 20 b. m. wraz z kilkoma towarzyszami na wycieczkę pieszą do Radowiec, gdzie przybywszy zabawiali się wesoło przez parę godzin, a następnie przed wieczorem, nie zważając na szalejącą zawieruchę śnieżną, wyruszyli w drogę powrotną. Dwa kilometry przed Seretem Weber, zmęczony i zmarznięty, pozostał w tyle, a towarzysze, nie troszcząc się o niego, pozostawili go samego i przybywszy do Seretu wstąpili do jego matki i uwiadomili ją, iż syn jej pozostał w tyle, lecz niebawem nadejdzie.



Gdy jednak do godziny 1 w nocy syn się nie zjawił, zaniepokojona matka wybrała się sama w ciemną i mroźną noc na poszukiwanie za synem. Błądząc około 3 godziny po polu, natrafiła wreszcie nad ranem na syna, leżącego w przydrożnych krzakach, lecz niestety bez życia, a wszelkie ratunkowe usiłowania zrozpaczonej kobiety pozostały bez skutku.

Pożar kapelusza. Na pewnym placu w Londynie czekała jakaś pani na omnibus. Gdy wreszcie omnibus nadszedł, zauważyli przechodnie, że olbrzymi kapelusz oczekującej stoi w płomieniach. Jeden z przechodniów zerwał zdziwionej kobiecie kapelusz z głowy, inny zaś zarzucił palto na głowę, bo już i włosy zajęły się ogniem. Dzięki temu, jak również okoliczności, że owa pani miała włosy sztuczne, tak obficie używane obecnie przez panie miastowe, obeszło się bez poparzeń znaczniejszych. Jak stwierdzono, pożar kapelusza wywołał mężczyzna, siedzący w omnibusie, rzuciwszy płonącą zapałkę.

Fatalne skutki ciekawości. Na błoniu lotniczem pod Paryżem zdarzył się następujący fatalny wypadek. Kiedy lotnik Chemine ruszył monoplanem z miejsca, rozległ się krzyk przeraźliwy. Wstrzymamano maszynę i okazało się, że pod aeroplan dostał się 9-letni chłopak i został ciężko poraniony. Maszyna wyrwała mu ucho i pokaleczyła głowę oraz barki.

Polacy w Ameryce. Jak donosi »Dziennik Chikagowski«, straszna eksplozya nastąpiła w szybie nr. 10 kopalni pensylwańskiej w Hughestown koło Pittston. Kolejka górnicza, składająca się z dwunastu wozów, rozwoziła jak zwykle górników i pomocników do ich komór, gdy wtem na trzecim wozie, z niewiadomych powodów, eksplodowała 25-funtowa beczułka prochu. Skutki wybuchu były fatalne. — Z czterdziestu znajdujących się w pociągu górników jedenastu zostało strasznie poparzonych, z tego siedmiu bez nadziei życia odwieziono zaraz do szpitala w Pittston. Między ciężko poparzonymi leczą się w szpitalu następujący Polacy: Wilhelm Zabawski, lat 30, z Dupont, bezżenny. Jakób Zygmunt, lat 21, z Pittston. Michał Dyka i Adam Majuk z Duryea. Franciszek Piliwski, lat 39, żonaty, z Duryea, Michał Sidło z Duryea. Jan Korcha z Aschley, górnik szybu nr. 20, kopalni Lehigh i W. Barre uległ złamaniu nogi i innym okaleczeniom, ugodzony bryłą węglową. Leczy się w szwitalu w Mercy. Wojcioch Hatacki, lat 36, z Kingston, górnik kopalni »Kingston«, odwieziony został do szpitala z członkami także skałą węglową pogruchotanemi. Andrzej Szynilski ze Stanton ul. Wilkes Barre podczas pracy w kopalni Franklin.

Ślub w lwiej klatce. Oryginalny ślub odbył się niedawno temu w Johannesburgu w południowej Afryce. Oto zjechał tam wielki cyrk, którego dyrektor, będący równocześnie pogromcą lwów, zakochał się w jednej z miejscowych panien. Panna, której młody siłacz-pogromca bardzo się podobał, zgodziła się pójść z nim do ślubu. Dla tem większej sensacyi i reklamy — ze względu na interes cyrkowy — postanowiono wziąć ślub w cyrku, w klatce lwów, podczas przedstawienia. Oczywiście, że w dniu zaślubin cyrk był przepełniony publicznością, która chętnie płaciła podwyższone ceny biletów, aby tylko ujrzeć ślub w lwiej klatce.



Podczas przedstawienia młoda para wraz z pastorem i świadkami zbliżyła się do klatki, w której drzemały dzikie bestye. Narzeczony otworzył klatkę i zwrócił się zapraszająco do pastora:

— Pan pastor raczy wejść do klatki?

Ale pastor energicznie potrząsł głową.

— Ja tutaj wolę zostać! — rzekł skromnie i stanął przy ścianie klatki, a obok niego świadkowie, również nie mający ochoty ryzykować całości swej skóry. Sama zatem młoda para weszła do klatki, a pastor przez kratę dał im ślub. Ceremonii tej ze zdumieniem przypatrywały się ogromne lwy i lwice, znajdujące się w klatce. Dodać należy, że w czasie uroczystego aktu narzeczony pogromca niejednokrotnie potrząsał groźnie batem w kierunku lwów i zabójczem spojrzeniem obrzucał zdumione bestye.

Kara na pijaków. Ciekawy zwyczaj panuje w Albanii, w mieście Prizenie, liczącem 50 tysięcy mieszkańców i to przeważnie mahometan. Karze się tam bezmiłosiernie pijaków dla nauki i przykładu. Schwytanego pijaka krępują, wiążąc mu ręce w tył, obnażają głowę, wsadzają na osła i obwożą po ulicach miasta. Przed osłem idzie dobosz, który uderzając w bębem, woła grosem donośnym: »Oto łotr, który przynosi wstyd wszystkim porządnym ludziom«. Na odgłos bębna wylega cała ludność miasta, otacza pijaka i urąga mu; lecz nie koniec na tem; po pochodzie pijaka przywiązują do słupa na środku rynku i tam w dalszym ciągu tłum ma prawo przypatrywać mu się, szydzić z niego i wyśmiewać! Podobna egzekucya odbiera każdemu ochotę do pijaństwa, napędza wstrętu do wódki.

Nie jechać do Indyi. Ministerstwo hadlu przestrzega, wobec licznego wyjazdu robotników rolnych z Galicyi na zarobek do Indyi, że niema tam zbytu na pracę. Wynagrodzenie pracujących w Indyach robotników jest bardzo szczupłe, zresztą przedsiębiorcy tamtejsi zupełnie nie przyjmują robotnika obcego, gdyż mają dużo swoich ludzi, którzy za bardzo niską cenę godzą się do pracy. Agenci, którzy kręcą się od dłuższego czasu po wsiach w Galicyi, okłamują ludność robotniczą o stosunkach, gdyż pragną tem wyłudzić pieniądze od emigrantów, z których żyją.

Maszyna do usuwania śniegu. Zaspy śnieżne, dochodzące nieraz do kilku metrów wysokości, dają się ogromnie uczuwać osobliwie na kolejach, przebiegających w poprzek Stanów Zjednoczonych, od oceanu Atlantyckiego do Spokojnego. Ponieważ używane dotychczas, powszechnie znane pługi, popychane przez lokomotywę, nie wystarczają, jeżeli warstwa śniegu na torze kolei żelaznej dochodzi tylko do dwu metrów, bo wtedy albo śnieg tak się zbija pod ciśnieniem pługa, iż go żadną siłą usunąć nie można, albo pług się wykoleja, przeto obmyślono w Stanach Zjednoczonych osobną maszynę do usuwania śniegu z torów kolei żelaznych. Jestto maszyna parowa z własnym kotłem, ustawiona na platformie osobnego wagonu krytego i poruszająca walec poziomy, na którym osadzonych jest promienisto 10 łopat lejkowatych, na zewnątrz otwartych i zaopatrzonych w noże. Pod obrotem walca noże krają śnieg, a łopaty chwytają go i wyrzucają poza tor. Dzieje się to bardzo szybko a śnieg, w kawałkach nieraz zlodowaciałych, wylatuje na wysokość 18 metrów i pada na odległość, dochodzącą do 90 metrów poza tor. Ze śniegu leżącego na dwa metry na torze można w godzinę oczyścić 13 kilometrów kolei żelaznej; jakiej zaś siły potrzebaby do takiej pracy, wystarczy przytoczyć, że na szwajcarskiej kolei św. Gotarda, na której zaprowadzono usuwanie śniegu nowym sposobem amerykańskim, trzeba maszynę do usuwania śniegu pchać naprzód nieraz aż trzema lokomotywami. U nas przydałby się zapewne system amerykański usuwania śniegu na kolejach żelaznych w Galicyi wschodniej, gdzie od kilku lat powtarzają się zaspy śnieżne, nieraz przez kilka dni ruch na kolejach wstrzymujące.

Sztuka długiego życia. Książki i artykuły na temat, jak życie przydłużać i dożyć późnej starości, zawsze mogą liczyć na poczytność. Bo człowiek, choć narzeka na zmartwienia, choroby, złość ludzką, lubi życie. I oto pi rwsza zasada, czysto duchowa i przy pewnem wyćwiczeniu łatwa do wykonania: nie dawać się starości, nie myśleć o niej, sta-

rać się o to, by umysł i ciało czuły się rzeźkiemi. Powtóre należy dbać o dobre trawienie, gdyż tworzy ono podstawę należytego obiegu krwi. Po trzecie, trzeba długo spać i w porę spać, to jest wcześnie się kłaść spać i wcześnie wstawać.

Zresztą doświadczenie uczy, że długowieczność jest w wielu rodzinach dziedziczną. Oto kilka bardzo zajmujących przykładów. W Anglii stanął przed sądem niejaki Jenkins, liczący 160 lat. Miał zeznawać przed sądem o sprawie, która zaszła przed 120 laty. Towarzyszyło mu dwoje jego »dzieci«; z tych jedno miało 104 a drugie 100 lat. W 1724 r. w pobliżu Temeszwaru na Węgrzech zmarł niejaki Piotr Czarten. Miał lat 185 i zostawił syna liczącego 95 lat. Tomasz Parr w Anglii, umierając w 1635 roku, miał 135 lat. Jedna z jego córek żyła 103 lata. Józef Surrington, który zmarł w 1797 roku, liczył 160 lat. Miał syna, który wówczas liczył 103 lata, żonę młodą i z nią 9-letniego syna. Zmarła w Finlandyi w roku 1692 wieśniaczka Marya Willamów dożyła 114 lat, 9 miesięcy; jej brat 108 lat; rodzeństwo po 90—100 lat. Żołnierz francuski Jan Thouret, mimo ran, odniesionych w bitwach, żył 104 lat; jego matka 118 lat; jeden z jego wujów 130 lat. W pewnej rodzinie żył pradziadek, liczący 96 lat i miał siedmiu synów żyjących, którzy razem mieli 600 lat.

Lecz należyte prowadzenie się może i dzieciom rodzin krócej żyjących zabezpieczyć długą starość. Lekarz angielski, Herman Weber, jest synem rodziców, którzy zmarli młodo i pochodzili z rodzin nie żyjących długo. On sam ma już 86 lat i wygląda bardzo rzeźko, dzięki stworzonym przez siebie prawidłom. Należy żyć umiarkowanie, unikać nocnych niewywczasów, przejadania się mięsem.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Rudolf Grzegorz w T.: »Ka« nie jest przysłówkiem, zaś od »dać« pisze się dasz. — Floryan Ćmak w Ch.: Nadesłana zagadka stara jak świat i co najmniej 50 czytelników już ją przysyłało. — Franciszek Kelner w P. L.: Szarada trzecia może byłaby dobra, ale zapomniał Pan napisać rozwiązania. — Józef Frączek: Wysłaliśmy natychmiast. — Wawrzyniec Pietrucha w R. N. W.: Pisze Pan, że Maciek dobrze robi, »bo go nawet największe leniuchy czytają i tak powoli zbiera ich większa chęć zajrzeć do gazety«. Właśnie to było zamiarem redakcyi, gdy kazała Maćkowi co tydzień gadać: najpierw ludzi zabawić a przez to zachęcić do czytania. Będzie na przzszłość tak, jak Pan pisze: »Niech Maciek się nie zaniedbywa, tylko rżnie, choćby największe niedorzeczności, byle śmieszne były i ciekawe«. Otóż tak będzie, ale nieraz w śmiesznym sposobie powie Maciek niejedną mądrą rzecz. Bardzo dziękujemy za ładny, miły list. — Józef Kucia w R.: Kalendarz wysłany 27 stycznia; wysyłamy reklamacyę do Lwowa. — Jan Jaszek w S-ty J.: Wiersz do Maćka przyszedł zapóźno, schowamy go, może się przyda, bo dobry. O życiorys prosimy — a zobaczymy. — Ludwik Pernal w K.: Wysłany 24 stycznia; wysyłamy reklamacyę. — Józef Kubielas w L.: Dziękujemy za pochwały. Ta powieść to nie jest »O tron« Krechowieckiego. Maciek może się przecie ożenić, nie trzeba tracić nadziei a korony na czepiec to bardzo lubi, ale wziąłby i bez czepca. Książkę wyślemy. — Jan Jarosz w Boguminie: Reklamujemy, bo wysłaliśmy w swoim czasie. — Izydor Warzała w Ł.: Wysyłamy, zagadka dobra. — Franciszek Jonkisz w W.: Było posłane w styczniu, mamy zapisane i kwitowane na poczcie. — Jau Dajda w W.: Niestety, pojedynczych numerów z zeszłego roku już nie mamy tylko całe komplety. — Piotr Lipowiak w L.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Czekon Alojzy w B.: Otrzymaliśmy. — Józef Kulka w B.: Wiersz p. t. »Czem mi Ojczyzna« — otrzymaliśmy. — Józef Durak w S.: Wszystkich zagadek odrazu wydrukować nie można, boby i w trzech numerach miejsca brakło, choćby je całe tylko zagadkami zadrukował. Umieszczamy powoli, a idą te najpierw, które są napisane tak, że ich przepisywać nie trzeba. O powiastkę prosimy. Maciek za pozdrowienia pięknie dziękuje. — Władysław Dubaj w J. p.: Owszem otrzymaliśmy, a tylko przez pomyłkę nie było w odpowiedziach. — Anna Lasoń w K.: Może być, że Maciek po Wielkiej Nocy się ożeni i naprzód się cieszy, iż będzie miał tak urocza druchnę. — Cupryś Stefan: »Dlaczego kot chwyta myszy«, opowiadanie ludowe — otrzymaliśmy. — Władysław Misiaszek w B.: Za poczciwe słowa serdecznie dziękujemy: są one nam bodźcem do dalszej pracy. Niestety, wielu jeszcze woli przepić pieniądze, aniżeli zaprenumerować dobrą gazetkę, ale może da Bóg, że przecie ludzie zmądrzeją. — Wiktorya Bilicka z K.: Otrzymaliśmy. Prosimy o cierpliwość — pójdzie powoli. — Piotr Załubski w Ł. D.: Wiersz jakkolwiek dobry, przyszedł zapóźno do numeru »zapustnego« — musi poczekać do przyszłego roku. — »Ktoś« przysłał fotografię dwóch »dzieuch« dla Maćka do wyboru, ale jakże Maciek ma wybierać, kiedy nie wie ani nazwiska, ani miejscowości, ani poczty — a szkoda, bo »gady« ładne! A jeszcze lepiej spodobał mu się konik przy wózku, na którym owe »damy« siedzą. — Józef Drogoś w J.: Przysłał Pan 4 kor. bez 30 hal. na kalendarz, zatem nie poszedł; teraz o kalendarzu mowy być nie może, wyczerpane. — Szymański Kazimierz w P.: Jedna korespondencya zbyteczna, mieliśmy już obszerniejszą o tem samem, jest dziś w numerze. Do losowania wpisujemy wszystkich bez wyjątku, którzy na czas nadeszlą. — Józef Kapuściński w L.: Wszystko otrzymaliśmy. Zgoda, tylko prosimy pisać dużo a wszystko powoli pójdzie. — Jędrzej Czarnik z N. W.: Życzenia przyszły zapóźno, aby je drukować — szarady dobre, ale muszą być własnego układu. Dobre rzeczy zawsze chętnie drukujemy. — Wojciech Kurzeja w K.: »Opowiadanie młynarza« otrzymaliśmy. Utwory gwarą są nam bardzo pożądane. — Władysław Biedroń w P.: »Płacz wygnańców na Sybirze« będzie drukowany. Życzenia dla Maćka wesołe i dobre, ale niestety, przyszły zapóźno do druku, a po imieninach drukować nie czas. — Jan Bojda w C.: Nadesłany artykuł trochę za tłusty — możeby coś innego a delikietniejszego.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłalii PP.: Sikora Ludwik z D. L., Kółko rolnicze z M., K. Sierosławski z G., Jan Filipiak z T., Józef Walatek z R., Łukasz Kłyś z M., Jędrzef Parys z G., Jan Balcar z C. G., Zofia Odrowąż Wysocka z P. W., Kraj. szkoła koszykarska w B., Towarzystwo wzaj. ubezp. w Krakowie, Jędrzej Jarzyna z P. W., Stańko Franciszek z R., Antoni Czarnik z W. B., Ks. Jan Hess z O., Jan Przystaś z W., Marcin Kowalczyk z J., Tomasz Mąsiorski z L., Jan Kręcina z Ż., K. Janowska z Z., Józef Wajda z B., Stanisław Szela z P.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Stanisław Kołodziej z S., Sopczyk J. z T., Antoni Grygierczyk z S., Koło miejscowe T. S. L. w J. (6 prenumerat), Józef Marszałek z M., Kisielewski z D., Jurosz Jakób z S., Karol Skatuła z D., Józef Frączek z P, Władysław Eisenbart z B., Ochodek Franc. z S., Marcin Babula z S., Jan Szłapak z M., Stanisław Guzik z Szcz., Walerya Bąkówna z Cz., Jan Pożdał z J. S., Marya Radlmesserówna z S.

Kwartalną prenumeratę nadesłali: PP. Stanisław Korejba z K., Pluta z Cz., Jan Przybylak z Ż., Jan Mucha z K., Józef Frączek z P.,

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 21 lutego:

Buhaje	Kor.	170	do	320	za sztukę
Woły	„	200	„	400	„
Krowy	„	120	„	240	„
Jałówki	„	130	„	320	„
Cielęta	„	20	„	69	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	134	„	146	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 21 lutego:

Pszenica	Kor.	10·75	do	10·50	za 50 kg.
Żyto	„	7·70	„	8·—	„
Jęczmień	„	7·80	„	8·20	„
Owies	„	8·60	„	8·85	„
Otręby pszenne	„	5·—	„	5·10	„
Otręby żytnie	„	4·70	„	4·80	„

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem. — Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Zagadki do nagrody.

4. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłała Barbara Siwkówna z G. S.).

*	.	.	.	.	Nazwa ogólna wszechrzeczy.
.	*	.	.	.	Płyn wytłaczany z owoców poł.
.	.	*	.	.	Kraj sąsiadujący z Galicyą.
.	.	.	*	.	Zakończenie łodyg u zbóż.
.	.	.	.	*	Pojedyncza nazwa narodowości.

Następujące litery powstawiać zamiast gwiazdek i kropek tak, aby litery zamiast gwiazdek dały nazwę kraju: a, a, a, ą, i, i, k, k, k, l, l, l ł, o, o, o, p, s, s, ś, ś, t, w, w, y.

2. PRZESTAWIANKA.

(Nadesłała Bolesława Zachariasiewicz z K.).

Z następującycb części ułożyć znane przysłowie polskie:

Ku, ku, gu, bie, ja, ta, bo, bó, ba, k, g, k.

3. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłała Adela Bezokówna z K. m).

Z poniżej podanych zgłosek ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko sławnego wodza polskiego:

Ka, so, o, o, ma, ce, nia, mierz, cho, wa, sa, wa, ka, dyk, rek, zi, zi, giel, na, śli, u, in, lej.

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak, 2. Owad, 3. Drzewo owocowe, 4. Fabryka, 5. Ptak domowy, 6. Część głowy, 7. Ptak drapieżny, 8. Pora roku, 9. Imię męzkie, 10. Tłuszcz.

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:

1) K. Maćkowskiego *Powieści i opowiadania.*

2) Fr. Szyndlera ***Bolesław II.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 4 marca 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 7 *Roli*: 1. Metagram: **Gra, grab, grad, gram, grat.** 2. Zagadka: **Jedna osoba wzięła jabłko z koszykiem.** 3. Szarada: **Lelewel.** 4. Zagadka rach.: **Jeden pasterz miał 5 drugi 7 krów.**

* * *

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

Michał Dudek z Ż., Franc. Teper z M. K., Jan Łaz z T., Rudolf Kula z M. K., Szczych Jan z S., Ludwik Misiora z B., Władysław Stefański z G., Franciszek Kozok z F., Józef Wanot z Cz., Jan Płodzień z Ch., Zofia Oraczewska z Ż., Stanisław Wyrobek z J., Wł Lanoszka z S., Józef Gąsior z S., Alojzy Siakała z P., Franciszek Żebrok z B., Apolonia Zamorska z G., Kazimierz Kowalski z K., Marya Synowcówna z S. g., Antoni Kościelny z K' W., Antoni Ziemiński z K., Jan Moś z Cz, Jan Burghardt z S., Piotr Bielecki z D., Józef Gaber z W. Ł., Jan Kanty Piecha z B., Robert Szewieczek z D. (wierszem), Józefa Hirszberg z K., Barbara Siwkówna z G. S., Józef Kobylański z L., Zygmunt Bogdański z J., Karol Żyła z F., Piotr Gajoch z P., Jan Dyba z Ł., Stefan Dziadyk z M., Jan Stec z K., Michał Barys z K., Maciej Pogorzelec z R., Tomasz Czernek z C., Ignacy Wryk z T., Wojciech Franc z K., Stefan Zalasiński z R., Jan Szybowicz z S., Adam Warchoł z Z., Adela Bezokówna z K. M, Franciszek Kelner z P. L., Floryan Ćmak z Ch., Adam Zieliński z M. z., Rudolf Grzegorz z T., K. Sierosławski z G., Jan Filipiak z T., Józef Walatek z R., Łukasz Kłyś z M., Jędrzej Parys z G., Karol Wardas, Piotr Lipowiak z L., Jan Kłoda z M., Wł. Kisała z K., Józef Pawełek z O., Józef Durak z S., Eugeniusz Oczkowski z G.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Czarny Bizon*** wylosował **p. Piotr Lipowiak** z L., drugą p. t. ***Sierota*** **p. Franciszek Kelner** z P. L.

Wydawcy Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.